

WIKTOR PIELEWIN

ŚWIĘTA KSIĘGA WILKOŁAKA



Wiktor Pielewin (ur. 1962) stał się sławny dzięki rosyjskiej Nagrodzie Bookera za tom prozy *Sinij Fonar'* (Niebieska latarnia, 1991).

Jest autorem książek: *Omon Ra* (1992; wyd. pol. w przygotowaniu), *Mały palec Buddy* (1996; W.A.B. 2003), *Życie owadów* (1997; W.A.B. 2004), *Żółta Striela* (Żółta strzała, 1998; wyd. pol. w przygotowaniu), *Generation ,P'* (1999; W.A.B. 2002) oraz *Helm grozy* (wyd. pol. 2006). W Rosji Pielewin należy do najpopularniejszych autorów. W styczniu 2002 roku rosyjska organizacja młodzieżowa popierająca Władimira Putina ogłosiła listę pisarzy i książek „słusznych” i „niesłusznych” – nazwisko Pielewina otwiera tę drugą. W 1998 roku „The New York Times” uznał Pielewina za jednego z sześciu najzdolniejszych młodych pisarzy europejskich.

Święta księga wilkołaka ukazała się w 2004 roku, prawa do jej publikacji kupiły dotychczas wydawnictwa we Francji, Niemczech, Włoszech, Chorwacji oraz na Litwie.

Pielewin nie mieści się w żadnej kategorii, co jest cechą tylko największych pisarzy.
„The Houston Chronicle”



**WIKTOR
PIELEWIN**
ŚWIĘTA KSIĘGA WILKOŁAKA



W serii ukazały się:

- David Adams Richards *Grzech miłosierdzia*
Majgull Axelsson *Kwietniowa czarownica*
Majgull Axelsson *Daleko od Niflheimu*
Aharon Appelfeld *Badenheim 1939*
John Banville *Zaćmienie*
Attila Bartis *Spokój*
Samuel Beckett *Sen o kobietach pięknych i takich sobie*
Thomas Bernhard *Wymazywanie*
Javier Cercas *Żołnierze spod Salaminy*
Michel Faber *Pod skórą*
Michel Faber *Szkarłatny płatek i biały*
Jonathan Safran Foer *Wszystko jest iluminacją*
Laurent Gaudé *Słońce Scortów*
Julia Glass *Trzy czerwce*
Juan Goytisolo *Makbara*
Jan Guillou *Zło*
Michel Houellebecq *Cząstki elementarne*
Michel Houellebecq *Platforma*
Michel Houellebecq *Poszerzenie pola walki*
Michel Houellebecq *Możliwość wyspy*
Daniel Kehlmann *Berholm przedstawia*
Imre Kertész *Los utracony*
Imre Kertész *Kadysz za nienarodzone dziecko*
Imre Kertész *Likwidacja*
Imre Kertész *Fiasko*
Imre Kertész *Ja, inny. Kronika przemiany*
Imre Kertész *Angielska flaga*
Michail Kononow *Gola pionierka*
László Krasznahorkai *Szatańskie tango*
Karel van Loon *Ojciec i ojciec*
Harry Mulisch *Procedura*
Harry Mulisch *Odkrycie nieba*
Wiktor Pielewin *Generation „P”*
Wiktor Pielewin *Mały palec Buddy*
Wiktor Pielewin *Życie orwadów*
W.G. Sebald *Wyjechali*
Zeruya Shalev *Życie miłosne*
Zeruya Shalev *Mąż i żona*
Władimir Sorokin *Lód*
Jáchym Topol *Siostra*
Jáchym Topol *Nocna praca*
Mo Yan *Kraina wódki*
Oksana Zabuzko *Badania terenowe nad ukraińskim seksem*
Juli Zeh *Orły i anioły*

**WIKTOR
PIELEWIN**
ŚWIĘTA KSIĘGA WILKOŁAKA

Przełożyła
Ewa Rojewska-Olejarczuk



Kultura 2000

Publikacja została sfinansowana
przy wsparciu Komisji Europejskiej.
Wyraża ona jedynie opinie jej autorów, a Komisja
nie może być pociągnięta do odpowiedzialności
w zakresie wykorzystania informacji w niej zawartych.

Tytuł oryginału: *Священная книга оборотня*

Copyright © В. Пелевин, 2004

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2006

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2006

Wydanie I

Warszawa 2006

Opinia ekspertów

Niniejszy tekst, znany również pod tytułem *A Huli*, to nieporadny falsyfikat, sporządzony przez nieznanego autora w pierwszej ćwierci XXI wieku. Zdaniem większości ekspertów, interesujący jest nie tyle sam tekst, ile sposób, w jaki się pojawił. Dokument tekstowy, zatytułowany *A Huli*, mieści się rzekomo na twardym dysku notebooka znalezionej „w dramatycznych okolicznościach” w jednym z moskiewskich parków. O tym, że akcja ta została wyreżyserowana, świadczy opisujący znalezisko protokół milicyjny, który daje, jak sądzimy, niezłe pojęcie o wirtuozerskich technologiach współczesnego piaru.

Protokół jest autentyczny, ma wszystkie wymagane pieczęcie i podpisy, choć dokładny czas jego powstania pozostaje nieznany – górną część strony tytułowej z datą odcięto przy broszurowaniu i oprawianiu dokumentu przed odesłaniem go do archiwum po zakończeniu roku kalendarzowego, jak tego wymagają przepisy. Z protokołu wynika, że zainteresowanie milicji wywołały dziwne zjawiska przyrody w parku Bitcewskim, w południowym okręgu administracyjnym Moskwy. Okoliczni mieszkańcy zauważyli nad drzewami błękitną poświatę, pioruny kuliste i mnóstwo pięciobarwnych tęcz. Niektóre tęcze miały formę kul (według zeznań świadków, ich kolory jakby prześwitywały jedno przez drugie).

Epicentrum anomalii stanowił spory plac na skraju parku, gdzie znajduje się trampolina do skoków rowerowych. Obok trampoliny znaleziono stopioną ramę od roweru Canondale Jekyll 1000 i szczątki kół. Trawa w promieniu dziesięciu metrów dokoła była wypalona, przy czym wypalony obszar miał kształt regularnej pięcioramiennej gwiazdy, poza jej granicami zaś trawa pozostała nietknięta. W pobliżu ramy od roweru znaleziono części damskiej garderoby: džinsy, parę adidasów, figi z napisem „Niedziela” i T-shirt z wyszytym na piersi słowem „скиф”.

Sądząc z załączonej do protokołu fotografii, trzecia litera tego słowa bardziej przypomina cyrylicie и niż łacińskie „u”. Można założyć, że mamy tu do czynienia nie z anagramem słowa *fuck*, jak twierdzi w swej monografii M. Lejbman, ale ze słowem *skif* (Scyta). Potwierdza to napis: „Tak, my – Azjaci!”* na plecach koszulki – niewątpliwa aluzja do wiersza A. Błoka *Scytowie*, którego M. Lejbman najwyraźniej nie zna.

Wśród garderoby znajduje się plecak z notebookiem wcześniej wspomnianym w protokole. Żadna z tych rzeczy nie ucierpiała, nie znaleziono na nich śladów ognia, co wskazuje, że zostały podrzucone na miejsce zdarzenia już po tym, jak na trawie pojawiła się wypalona gwiazda. W powyższej sprawie nie wszczęto żadnego dochodzenia.

Los tekstu znajdującego się (rzekomo) na twardym dysku jest dobrze znany – początkowo tekst krążył w środowiskach okultystycznych, a następnie został wydany w formie książkowej. Jego oryginalny tytuł uznali za nieprzyzwoity nawet księgarze, toteż wydawcy przemianowali go na *Świętą księgę wilkołaka*. Wzmiankowany tekst nie zasługuje oczywiście na poważną analizę literaturoznawczą czy krytyczną. Warto

* Przekład Mieczysława Jastruna.

wszakże wspomnieć, że stanowi tak gęstą plątaninę zapożyczeń, naśladownictw, odniesień i aluzji (nie mówiąc już o okropnym języku i wyjątkowym infantylizmie autora), iż nawet nie warto pytać poważnych specjalistów, czy jest autentyczny: może być interesujący jedynie jako symptom głębokiego duchowego upadku, przeżywanego przez nasze społeczeństwo. A pseudoorientalna metafizyka, której znajomością autor usiłuje epatować podobnych sobie smętnych nieudaczników, u poważnych ludzi może wywołać tylko uśmiech politowania. Pragniemy zapewnić moskwian i gości naszej stolicy, że czystość i porządek w parku Bitcewskim są utrzymywane na należytych poziomach, a moskiewska milicja dniem i nocą czuwa nad spokojem i bezpieczeństwem spacerowiczów. A najważniejsze, przyjaciele – to żeby w naszym życiu zawsze znalazło się miejsce dla radosnej pieśni!

mjr Tengiz Kokojew,
komendant posterunku milicji Bitca-centrum
dr Maja Maraczarska, dr Igor Koszkodawlenko, filolodzy
Peldis Szarm, prezenter programu telewizyjnego
„Karaoke o Najważniejszym”

*W czystym bezwietrzym gwiazdnych przestworów
Wiele ma Pan nasz jasných ubiorów.*

Z nieznanego źródła

*Kto jest bohaterem twym, Dolores Haze?
Superman niebieski czy jakiś barman?
Czarowne mirażę w skwarze, palmowe plażę,
Bar i gwar, i wir par, moja Carmen!*

Humbert Humbert
(przekład Roberta Stillera)

Klient, którego namotał mi barman Serge, miał czekać w barze „Aleksandrowskim” hotelu „National” o dziewiętnastej trzydzieści. Była już dziewiętnasta czterdzieści, a tak-sówka wciąż się wlokła, przepychając się z jednego korka w drugi. Już nawet byłam gotowa uwierzyć, że mam duszę – tak mi było na niej ciężko.

– *I want to be forever young** – po raz nie wiem który śpiewał w radiu Alphaville.

Chciałabym mieć twoje problemy, pomyślałam. I natychmiast przypomniałam sobie o własnych.

Tak w ogóle to rzadko o nich myślę. Wiem tylko, że kryją się gdzieś tam, w czarnej pustce, i w każdej chwili mogą do nich powrócić. I przekonać się kolejny raz, że nie sposób ich rozwiązać. Jeśli się nad tym zastanowić, można dojść do interesujących wniosków.

Powiedzmy, że je rozwiążę. Co wtedy? Po prostu znikną – to jest odpłyną na zawsze w ten sam niebyt, w którym i tak tkwią przez większość czasu. Jedynym praktycznym rezultatem

* Chcę być wiecznie młody (ang.).

będzie to, że mój umysł przestanie je wywlekać z czarnej pustki. A więc czyż moje nierozwiązywalne problemy nie polegają wyłącznie na tym, że o nich myślę, i czyż nie stwarzam ich na nowo w chwili, gdy sobie o nich przypominam?

Najśmieszniejszy z tych problemów stanowi moje nazwisko. Co prawda, stanowi ono problem tylko w Rosji, ponieważ jednak mieszkam właśnie tu, jest to problem bardzo realny.

Nazywam się A Huli.

Dawniej, kiedy obowiązywała stara ortografia, można było przynajmniej na piśmie uniknąć nieprzyzwoitych skojarzeń. Pisałam swoje nazwisko przez „i” z kropką. Na pieczęcie, którą podarował mi w trzynastym roku pewien petersburski adwokat, znający tajemnicę, zostało ono połączone w dwa znaki:



To bardzo interesująca historia. Pierwsza pieczętka, którą dla mnie zamówił, była rżnięta w rubinie i wszystkie pięć liter łączyło się w jeden symbol:



Dał mi ten rubin, kiedyśmy płynęli jachtem po Zatoce Fińskiej, a ja, gdy tylko mu się przyjrzałam, wrzuciłam kamień do wody. Mecenas pobladł i zapytał, czemu go nienawidzę. Oczywiście nie dlatego, że naprawdę myślał, iż go nienawidzę. Po prostu w tamtej epoce modne były teatralne porywy duszy, które zresztą stały się przyczyną pierwszej wojny światowej i rosyjskiej rewolucji.

Wyjaśniłam, że można, co prawda, nałożyć wszystkie litery jedna na drugą i zmieścić na niedużym kamieniu, co wypadnie

niedrogo, ale wtedy nie będzie wiadomo, która z tych liter jest pierwsza. Dwa dni później był gotowy drugi wariant pieczęci – na podłużnym opalu – „z tajemniczym i szalonym AH”, jak ujął to wytwornie mecenas w załączonym do prezentu wierszu.

Oto jacy ludzie byli kiedyś w Rosji. Nawiasem mówiąc, podejrzewam, że nie napisał tego wiersza sam, tylko zamówił go u poety Kuzmina, jako że po rewolucji kilka razy nachodził mnie naćpani kokainą palanci z czrezwyczajki w poszukiwaniu jakichś brylantów. Potem do mojego mieszkania na ulicy Italiańskiej dokwaterowano ślusarzy i praczki, a mnie samą pozbawiono resztek godności osobistej, usuwając z alfabetu literę „i”. Dlatego od samego początku nie lubiłam komunistów, nawet w czasach, kiedy wierzyło w nich wiele światłych umysłów.

W rzeczywistości moje nazwisko jest bardzo piękne i nie ma nic wspólnego z jego rosyjskim znaczeniem. „A Huli” znaczy po chińsku „lisica A”. W rozumieniu rosyjskim „A” to moje imię, a „Huli” – nazwisko. Cóż mogę powiedzieć na swoje usprawiedliwienie? Nazywano mnie tak już wówczas, gdy nie istniał w ogóle sam język rosyjski.

Kto by pomyślał w owych czasach, że moje szlachetne nazwisko stanie się kiedyś wulgaryzmem? Z imieniem też nie mam lekko, mimo że to tylko jedna litera. Idę na przykład ulicą, widzę kolejkę i aż podskakuję. A... co to za chujoza? Alfa-Bank Express. Chociaż już Ludwig Wittgenstein twierdził przecież, że na świecie są tylko imiona. Więc nie ma się na kogo obrażać.

My, lisice, jesteśmy szczęśliwymi istotami, bo mamy krótką pamięć. Dokładnie pamiętamy tylko ostatnie dziesięć, dwa-naście lat, a wszystko, co było dawniej, śpi w czarnej pustce, o której już mówiłam. Ale nie znika całkowicie. Przeszłość

to dla nas coś jak ciemna pakamera, z której możemy w każdej chwili wyciągnąć dowolne wspomnienie, co osiągamy szczególnego rodzaju wysiłkiem woli, dość męczącym. To czyni nas interesującymi rozmówczyniami. Mamy wiele do powiedzenia prawie na każdy temat; poza tym znamy wszystkie główne języki świata – miałyśmy dużo czasu, by się ich nauczyć. Ale nie rozdrapujemy wrzodu pamięci bez potrzeby, i na co dzień strumień naszych myśli jest praktycznie taki sam jak u ludzi. Dotyczy to również przyjmowanej przez nas na co dzień postaci – czyni ona lisicę nie do odróżnienia od bezogoniastej małpy.

Wiele osób nie rozumie, jak to możliwe. Spróbuję wyjaśnić. W każdej kulturze zazwyczaj wiąże się wygląd zewnętrzny z określonymi cechami charakteru. Piękna księżniczka jest dobra i litościwa; zła czarownica – brzydka i ma na nosie ogromną brodawkę. Istnieją również subtelniejsze związki, które nie tak łatwo zdefiniować – właśnie na nich opiera się w malarstwie sztuka portretu. Związki te zmieniają się z biegiem czasu i dlatego piękności jednej epoki często wywołują w innej epoce zdumienie. A więc, mówiąc najprościej, osobowość lisicy to taki typ ludzki, z jakim jej wygląd kojarzy się przeciętnemu przedstawicielowi danej epoki.

Mniej więcej co pięćdziesiąt lat dobieramy do swych niezmiennych rysów nowy fantom duszy, który prezentujemy ludziom. Dzięki temu z ludzkiego punktu widzenia nasze wnętrze zawsze w stu procentach odpowiada wyglądowi zewnętrznemu. Inna sprawa, że nie jest identyczne z prawdziwym, ale któż to pojmie? U większości ludzi tego, co prawdziwe, w ogóle nie ma, istnieje tylko to, co zewnętrzne i wewnętrzne, dwie strony jednej monety, którą, jak człowiek szczerze wierzy, gdzieś rzeczywiście wplącono na jego rachunek.

Wiem, że to dziwnie brzmi, ale naprawdę tak jest: dla dogodzenia współczesnym dobieramy sobie do wyglądu nowe „ja”, zupełnie jak suknię uszytą według nowej mody. Poprzednie wędrują do lamusa, i niebawem same musimy się dobrze wysilać, by sobie przypomnieć, jakie byliśmy dawniej. I żyjemy wesołymi głupstewkami, ulotnymi chwilami zabawy. Myślę, że jest to swego rodzaju mechanizm ewolucyjny, który ma nam ułatwić sprawy związane z mimikrą i maskowaniem. Wszak mimikra jest najdoskonalsza wtedy, kiedy stajesz się podobny do innych nie tylko z twarzy, ale i z myśli. Z tym, że jest to mimikra tylko dla lisic. Dla człowieka to przeznaczenie.

Na oko można mi dać czternaście do siedemnastu lat. Raczej czternaście. Mój wygląd wywołuje u ludzi, zwłaszcza mężczyzn, silne i sprzeczne emocje, których nie chce mi się opisywać, a zresztą nie ma potrzeby – *Lolite* w naszych czasach czytały nawet lolity. Z tych właśnie emocji żyję. Można by zapewne powiedzieć, że żyję z oszustwa: w rzeczywistości bynajmniej nie jestem małolatą. Dla ułatwienia określam swój wiek na dwa tysiące lat – potrafię je sobie przypomnieć mniej więcej dokładnie. Można to zresztą uznać za kokieterię, naprawdę bowiem jestem o wiele starsza. Początki mojego życia sięgają zamierzchłych czasów, i przypomnieć je sobie tyleż trudno, co oświetlić latarką nocne niebo. My, lisice, nie urodziłyśmy się tak jak ludzie. Wywodzimy się od niebiańskiego kamienia i jesteśmy luźno spokrewnione z samym Sun Wu-kongiem, bohaterem *Podróży na zachód* (choć nie upieram się, że to prawda – nie pozostały mi żadne wspomnienia z tych baśniowych czasów). W owych dniach byliśmy inne. Oczywiście wewnątrz, a nie zewnątrz. Zewnątrz nie zmieniamy się z wiekiem – jeśli nie liczyć tego, że co osiem lat w ogniu pojawia nam się jeden srebrny włos.

Nie pozostawiłam w historii tak wyraźnego śladu jak inne przedstawicielki mojego rodu. Niemniej zostałam wymieniona w jednym z zabytków literatury światowej i można o mnie przeczytać nawet po rosyjsku. W tym celu należy pójść do księgarni akademickiej, kupić książkę Gan Bao *Zapiski o poszukiwaniach duchów* i znaleźć w niej opowieść o tym, jak w epoce Późniejszej Dynastii Han namiestnik Xihai szukał zbiegłego naczelnika straży. Namiestnikowi powiedziano, że człowieka tego uprowadziła siła nieczysta, i na poszukiwanie zaginionego wysłano oddział wojska. Dalej (nosząc ze sobą tę kartkę jak talizman) do dziś nie mogę czytać bez wzruszenia:

...namiestnik z kilkoma dziesiątkami pieszych i konnych, wzięwszy ze sobą psy myśliwskie, jął szukać zbiega za murami miasta. I rzeczywiście znaleziono Xiao w pustym grobowcu. Demon zaś, słysząc głosy ludzi i psów, umknął. Ludzie wysłani przez Xiana przywieźli Xiao z powrotem. Z oblicza całkiem upodobnił się był do lisicy, nie pozostało w nim prawie nic ludzkiego. Mamrotał jedynie: „A-cy!” („A-cy” to przezwisko lisicy.) Po jakichś dziesięciu dniach stopniowo zaczął odzyskiwać rozum i wtedy opowiedział:

- Kiedy lisica przyszła po raz pierwszy, w oddalonym kącie domu, między kurzymi grzędami, pojawiła się kobieta wielkiej urody. Powiedziała, że nazywa się A-cy, i jęła mnie wabić ku sobie. I tak było wiele razy, aż wreszcie, sam się tego nie spodziewając, poszedłem na jej zew. Zaraz została moją żoną i tegoż wieczoru znaleźliśmy się u niej w domu... Spotkania z psami nie pamiętam, ale byłem rad jak nigdy dotąd.

- To był górski demon - uznał daoshi-wróżbita.

W Zapiskach o słynnych górach jest ustęp: „W zamierzonych czasach lisica była rozwiązłą kobietą i miała imię A-cy. Potem zamieniła się w lisicę”.

Oto dlaczego demony tego rodzaju przeważnie nazywają siebie A-cy.

Pamiętam tego człowieka. Miał głowę jak żółte jajo, a jego oczy wyglądały niczym dwa naklejone na to jajo papierki. Niezbyt dokładnie przytoczył historię naszego romansu, a i autor książki myli się, twierdząc, że nazywałam się A-cy. Dowódca straży nazywał mnie „A”, po imieniu, a „cy” był to dźwięk, który wymykał mu się niechcący, odkąd opuściły go siły żywotne: w czasie rozmowy ze świstem zasysał powietrze, jak gdyby usiłując przyciągnąć na miejsce obwisłą dolną szczękę. Nieprawdą jest poza tym, że kiedyś byłam rozwiązłą kobietą, a potem zamieniłam się w lisicę – o ile wiem, takie rzeczy w ogóle się nie zdarzają. Tak czy owak jednak, czytanie tego fragmentu starochińskiej prozy jest dla mnie równie wzruszające jak dla starej aktorki oglądanie najwcześniejszego z zachowanych fotosów.

Dlaczego nazywają mnie „A”? Pewien uczony konfucjanista ze skłonnością do chłopców, który wiedział, kim jestem, lecz mimo to korzystał z moich usług do samej śmierci, wymyślił interesujące wyjaśnienie. Otóż jest to najkrótszy dźwięk, jaki może wydać człowiek, kiedy odmawiają mu posłuszeństwa mięśnie gardła. Istotnie, niektórzy ludzie, na których zsyłam pomrocność, zdążają wymówić coś w rodzaju zdławionego „A-a...”. Ów konfucjanista wykaligrafował nawet dla mnie dedykację, zaczynającą się od słów: „A Huli – iwa nad nocną rzeką...”

Ktoś mógłby pomyśleć, że żyć w Rosji i nazywać się A Huli to dość smutny los. Mniej więcej tak jak żyć w Ameryce i nazywać się Whatze Phuck. Tak, imię przyobleka moje życie w posępne barwy i jakiś głos wewnętrzny wciąż usiłuje pytać – a kiego chuja spodziewałaś się od losu, A Huli? To jednak, jak

już mówiłam, jest najmniejszy z moich kłopotów, ponieważ pracuję pod pseudonimem, w dodatku raczej humorystyczny – co prawda, z gatunku czarnego humoru.

Fakt, że pracuję jako prostytutka, też mi nie ciąży. Dunia, moja zmienniczka z „Bałczugu” (znana tam jako Adultera), kiedyś tak oto ujęła różnicę między prostytutką a porządną kobietą: „Prostytutka bierze od faceta sto dolarów za to, że zrobi mu dobrze, a porządna kobieta zabiera gościowi cały szmal za to, że wysysa z niego krew do ostatniej kropli”. Nie do końca podzielałam tę radykalną opinię, ale jest w niej ziarno prawdy: obyczaj w dzisiejszej Moskwie są takie, że wyrażenie „z miłości” w przekładzie z języka przesłodzonego na prawniczy znaczy „za sto tysięcy dolarów, nawet z hemoroidami”. Czy warto zatem liczyć się z opinią społeczeństwa rządzącego się takimi zasadami moralnymi?

Mam problemy znacznie poważniejsze. Na przykład sumienie. Ale o tym pomyślę w jakimś innym korku, a teraz już dojeżdżamy.

Cylinder to oznaka kasty, wskazująca na przynależność do elity, jakkolwiek byśmy się do niej odnosili. I jeżeli u wejścia do hotelu wita nas człowiek w cylindrze i z niskim ukłonem otwiera przed nami drzwi, znaczy to, iż zostaliśmy podniesieni na taki poziom socjalny, że nakłada to na nas poważne zobowiązania finansowe wobec ludzi, którym się tak w życiu nie powiodło.

Znajduje to odbicie również w menu. Usiadłszy przy stoliku, zagłębiłam się w *drink list*, próbując znaleźć swoją niszę wśród czterdziestodolarowych whisky i sześćdziesięciodolarowych koniaków (i to za marne czterdzieści gramów!). Nazwy long drinków brzmiały jak rozdziały sensacyjnej powieści:

Tequila Sunrise, Blue Lagoon, Sex on the Beach, Screwdriver, Bloody Mary, Malibu Sunset, Zombie*. Gotowy scenariusz filmu.

Ale ja zamówiłam koktajl pod nazwą Rusty Nail** – nie na cześć przyszelej randki, jak mógłby pomyśleć ktoś ze skłonnością do psychoanalizy, tylko z powodu tajemniczego Drambuie, które wchodziło w jego skład obok scotcha. W życiu codziennie trzeba poznawać coś nowego. Poza tym menu było w dwóch językach, a po rosyjsku ten koktajl nazywał się „Rasti Nail”. Ot, taki sympatyczny Nail, rośnie sobie gdzieś w Żmerynce, snuje wielkie plany i nawet nie podejrzewa, że na emigracji czeka go tylko jedno – zostanie zardzewiałym gwoździem... Albo taki scenariusz: historia Ruso-Amerykanina, który wyjechał w pogoni za blaskiem wielkiego marzenia, a trafił w prozac***. I czemu ja nie działałam w biznesie filmowym?

W barze siedziały dwie moje koleżanki po fachu – była modelka Karina i transseksualistka Nelly, która przeniosła się tu z hotelu „Moskwa” po jego zamknięciu. Mimo że Nelly niedawno stuknęła pięćdziesiątką, prosperuje wręcz bardzo dobrze. Teraz też bajerowała jakiegoś wytwornego Skandynawa, a Karina samotnie dopalała już nie pierwszego papierosa, o czym świadczyły poplamione szminką niedopałki w popielniczce. Do dziś nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak się dzieje – Nelly, pokraka z komsomolską przeszłością, nastukuje więcej szmalu niż młodziutkie dziewczyny o aparycji modelek. Przyczyny mogą być różne:

* Tequilowy Brzask, Błękitna Laguna, Seks na Plaży, Śrubokręt, Krwa-
wa Mary, Zachód Słońca w Malibu, Zombi (ang.).

** Zardzewiały Gwóźdź (ang.).

*** Nieprzetłumaczalna gra słów: ros. *popast' wprosak* – wpaść, wdepnąć (przyp. tłum.).

1) człowiek Zachodu, który z mlekiem matki wyszał ideały równouprawnienia kobiet, nie jest w stanie odtrącić kobiety z powodu jej wieku czy niedoskonałości urody, ponieważ widzi w niej przede wszystkim człowieka;

2) zaspokajanie potrzeb seksualnych przy pomocy fotomodelki oznacza dla myślącego człowieka Zachodu podporządkowanie się ideologii społeczeństwa konsumpcyjnego, a to jest niskie i podłe;

3) człowiek Zachodu stawia instynkt społeczny o tyle wyżej od biologicznego, że nawet w sprawie tak intymnej jak seks troszczy się przede wszystkim o najmniej konkurencyjnych uczestników gospodarki rynkowej;

4) człowiek Zachodu uważa, że z brzydulą rzecz wypadnie znacznie taniej, i po chwilach wstydlivej rozrywki zostanie mu więcej pieniędzy na raty za jaguara.

Tak jak mi polecił barman Serge, nawet nie patrzyłam w jego stronę. U nich w „Nationalu” wszyscy kablują na wszystkich, więc trzeba się zachowywać ostrożnie. Poza tym Serge w tej chwili mało mnie obchodził, bardziej interesował mnie klient.

W barze było dwóch ewentualnych kandydatów: podobny do czekoladowego zająca sikh w granatowym turbanie i mężczyzna w średnim wieku w garniturze z kamizelką i złotych okularach. Obaj siedzieli samotnie – ten w okularach pił kawę, obserwując przez szybę czworokąt podwórza, a sikh czytał „Financial Timesa”, kołyszając noskiem lakierowanego pantofla w takt gry pianisty, który po mistrzowsku przerabiał kulturalną spuściznę dziewiętnastego wieku na dźwiękową tapetę. Leciąło *Preludium deszczowe* Chopina, to, które gra czarny charakter w filmie *Moonraker* w chwili pojawienia się Bonda. Uwielbiam tę muzykę. Ach, nie bez kozery Zofia Andriejewna

Tołstoj, pisząca w ostatnich latach życia polemikę z *Sonatą Kreutzerowską*, zamierzała zatytułować swą pracę *Preludia Chopina...*

Lepszy byłby ten w okularach, pomyślałam. Wyraźnie nie oszczędza na jaguara, bo już go ma. Dla takich cała frajda polega na tym, by wydać forszę, transakcja podnieca ich bardziej niż wszystko inne, do czego zresztą może nawet nie dojść, jeśli się faceta porządnie upije. Natomiast sikh to trudny orzech do zgryzienia.

Uśmiechnęłam się do okularnika, on odpowiedział uśmiechem. No, świetnie, pomyślałam, a tu nagle sikh złożył swoją finansową gazetę, wstał i podszedł do mojego stolika.

- Lisa? - zapytał.

Tak brzmiał mój dzisiejszy pseudonim.

- *That's right* - odparłam radośnie.

Cóż było robić?

Usiadł naprzeciw mnie i natychmiast zaczął narzekać na miejscową kuchnię. Jego angielszczyzna była bardzo dobra, nie taka, jaką zwykle mówią przybysze z Indii - prawdziwa oksfordzka wymowa, która swą suchością przypomina nieco rosyjski akcent. Zamiast *fucking*, niby dobrze wychowany skaut, mówił *freaking*, co brzmiało bardzo śmiesznie, zwłaszcza że wstawiał to słowo w co drugie zdanie. Zapewne religia zabraniała mu używać wulgarnych słów, jest w sikhizmie taki zakaz. Z zawodu okazał się portfelowym inwestorem, i ledwie się powstrzymałam od pytania, gdzie ma portfel. Portfelowi inwestorzy nie lubią takich żartów. Wiem o tym, ponieważ co trzeci mój klient w „Nationalu” to właśnie portfelowy inwestor. Nie dlatego, że w „Nationalu” zatrzymuje się tak wielu portfelowych inwestorów, po prostu ja bardzo młodo wyglądam, a co drugi portfelowy inwestor jest pedofilem. Nie lubię ich, szczerze mówiąc. Taka niechęć zawodowa.

Zaczął od bardzo staroświeckich komplementów – że nie wierzy swojemu szczęściu i że jestem podobna do dziewczyny jego marzeń z błękitnych chłopięcych snów. Tak powiedział. I jeszcze coś w tym rodzaju. Potem zażyczył sobie obejrzeć mój paszport – by się przekonać, czy jestem pełnoletnia. Do takich próśb przywykłam. Paszport miałam – zagraniczny i naturalnie fałszywy, na nazwisko Alisa Li. Sama to wymyśliłam – z jednej strony, popularne koreańskie nazwisko, pasujące do mojej azjatyckiej buzi. A z drugiej – jakby aluzja: „Tyś li Alisa?” Sikh przekartkował dokument bardzo uważnie – widocznie obawiał się o swoje dobre imię. Według paszportu, miałam dziewiętnaście lat.

– Napije się pani czegoś? – zapytał.

– Już zamówiłam – odparłam. – Zaraz przyniosą. Proszę mi powiedzieć, czy wszystkim dziewczynom mówi pan to samo – o błękitnym chłopięcym śnie?

– Nie, tylko pani. Nie mówiłem tego wcześniej żadnej dziewczynie.

– Jasne. Wobec tego ja panu też powiem coś, czego nie mówiłam żadnemu mężczyźnie. Jest pan podobny do kapitana Nemo.

– *Z Dwudziestu tysięcy mil podmorskiej żeglugi?*

Oho, pomyślałam, jaki czytany portfelowy inwestor!

– Nie, z amerykańskiego filmu *Liga niezwykłych dżentelmenów*. Był tam podobny do pana wybitny dżentelmen. Brodaty podwodny karateka w granatowym turbanie.

– Czy to film według Jules’a Verne’a?

Podano mi koktajl. Okazał się malutki – tylko sześćdziesiąt gramów.

– Nie, zebrano w nim wszystkich supermanów dziewiętnastego wieku – kapitana Nemo, niewidzialnego człowieka, Dorianą Graya i tak dalej.

- Tak? Oryginalne.

- Wcale nieoryginalne. Gospodarka oparta na pośrednictwie rodzi kulturę, która woli sprzedawać obrazy stworzone przez innych zamiast tworzyć własne.

Usłyszałam to zdanie od pewnego lewicowego francuskiego krytyka filmowego, który naciął mnie na trzysta pięćdziesiąt euro. Nie chodzi o to, bym się z nim całkowicie zgadzała, po prostu za każdym razem, kiedy powtarzam te słowa w rozmowie z klientem, mam wrażenie, jakby krytyk odpracowywał kilka jednostek obrachunkowych. Ale sikh to przerosło.

- Przepraszam? - bąknął nachmurzony.

- Krótko mówiąc, ta postać, ten kapitan Nemo, był do pana niezwykle podobny. Wąsy, broda... I na swojej łodzi podwodnej modlił się do bogini Kali.

- A zatem raczej nie mam z nim nic wspólnego. - Sikh uśmiechnął się. - Ja nie czczę bogini Kali. Jestem sikhem.

- Bardzo szanuję sikhizm - powiedziałam. - Myślę, że to jedna z najdoskonalszych religii na świecie.

- Wie pani, co to takiego?

- Tak, oczywiście.

- Pewnie pani słyszała, że sikhowie to tacy brodacze w turbanach? - spytał ze śmiechem.

- Nie fascynują mnie zewnętrzne atrybuty sikhizmu. Zachwyca mnie jego strona duchowa, zwłaszcza śmiałe przejście od zawierzenia żywym nauczycielom do zawierzenia księdze.

- Ale tak jest przecież w wielu innych religiach - zaproponował. - Po prostu my zamiast Koranu czy Biblii mamy Guru Granth Sahib.

- Ale nigdzie indziej wierni nie zwracają się do księgi jak do żywego mistrza. Poza tym nigdzie nie ma tak rewolucyjnej koncepcji Boga. Najbardziej zdumiewają mnie dwie cechy,

które radykalnie odróżniają sikhizm od wszystkich pozostałych religii.

- Jakież to cechy?

- Po pierwsze, uznanie faktu, że Bóg stworzył ten świat bynajmniej nie dla jakichś wzniosłych celów, ale wyłącznie dla własnej rozrywki. Na coś takiego przed sikhami nie odważył się nikt. I, po drugie, znajdowanie Boga. W odróżnieniu od innych systemów, gdzie jest tylko poszukiwanie Boga.

- A cóż to jest poszukiwanie Boga i znajdowanie Boga?

- Pamięta pan tę przypowieść o egzekucji na placu, często przytaczaną w komentarzach do świętych tekstów sikhijskich? Pochodzi chyba od guru Nanaku, ale nie jestem całkowicie pewna.

Sikh wybałuszył brązowe oczy i w jednej chwili stał się podobny do raka.

- Proszę sobie wyobrazić plac targowy - ciągnęłam. - Pośrodku stoi otoczony tłumem szafot, na którym ścinają głowę zbrodniarzowi. Obraz dość zwyczajny w średniowiecznych Indiach. I w Rosji też. No więc, poszukiwanie Boga - to kiedy najlepsi przedstawiciele narodu, przerażeni widokiem krwi na toporze, zaczynają poszukiwać Boga i w rezultacie po stu latach i sześćdziesięciu milionach trupów uzyskują niewielki wzrost stopy kredytowej.

- O tak - powiedział sikh. - To ogromne osiągnięcie waszego kraju. Mam na myśli wzrost stóp kredytowych. A co to jest znajdowanie Boga?

- Kiedy Boga znajduje się wprost na placu targowym, jak to zrobili nauczyciele sikhów.

- I gdzież on jest?

- Bóg w tej przypowieści jest katem i skazańcem, ale nie tylko. Jest tłumem wokół szafotu, samym szafotem, toporem, kroplami krwi na toporze, placem targowym, niebem nad

placem targowym i pyłem pod stopami. I, oczywiście, jest tą przypowieścią, a także – przede wszystkim – tym, kto teraz jej słucha...

Właściwie wątpię, czy taki przykład można nazwać aporemą, jako że nie ma w nim nierozwikłanej sprzeczności – chociaż może polega ona właśnie na tym, że Boga znajduje się wśród krwi i przerażenia. Ale sikh nie zaprotestował przeciw temu terminowi. Wytrzeszczył jeszcze bardziej oczy i zrobił się podobny nie do raka jako takiego, ale do raka, który wreszcie się domyślił, dlaczego dokoła stoją te ogromne kufle piwa. Podczas gdy on rozmyślał nad moimi słowami, spokojnie dopiłam koktajl – nadal nie wiedząc, co to jest Drambuie. Trzeba przyznać, że sikh wyglądał malowniczo – jak gdyby balansował na granicy objawienia i jakby wystarczył drobny impuls, by chwiejna równowaga jego umysłu wróciła do normy.

Tak też się stało. Kiedy tylko moja szklanka dotknęła stołu, opamiętał się. Wyjął z portfela kartę Diners Club Platinum z holograficznym Che Guevarą i zastukał w stół, wzywając kelnera. Potem położył rękę na mojej dłoni i szepnął:

– Może byśmy już poszli do pokoju?

Nazwa „National” sugeruje, że jest tu reprezentowany gust narodowy. W Rosji bywa on eklektyczny, co zresztą odzwierciedla wystrój hotelu: dywan w klasyczne królewskie lilie na schodach, witraże w oknach – *moderne*, a w doborze obrazów na ścianach w ogóle trudno się dopatrzeć jakiejś zasady. Cerkwie, bukiety kwiatów, leśne zarośla, stare wieśniaczki, scenki rodzajowe z Wersalu, na których od czasu do czasu miga Napoleon, podobny do niebieskiej papugi ze złotym ogonem...

W istocie obrazy nie mają ze sobą nic wspólnego wyłącznie na pierwszy rzut oka. Naprawdę bowiem łączy je jedna, naj-

istotniejsza wspólna cecha – są na sprzedaż. Gdy tylko o tym pomyślisz, od razu dostrzegasz zdumiewającą stylistyczną jednolitość wnętrza. Co więcej, zaczynasz rozumieć, że nie istnieje żadne malarstwo abstrakcyjne, jest tylko realistyczne. Chciałam nawet zanotować tę głęboką myśl, ale przy klientce nie wypadało.

Zatrzymaliśmy się przed oszklonymi drzwiami numeru trzysta dziewiętnaście i sikh z lubieżnym uśmiechem wsunął kartę-klucz do zamka. Zajmował apartament dla VIP-ów – takie kosztują tu jakieś sześćdziesiąt dolarów za dobę. Za podwójnymi drzwiami był salon biznesowy: pasiasta kanapa z wysokim oparciem, dwa fotele, faks i drukarka, palma w donicy i serwantka z zabytkową porcelaną. Za oknem otwierała się panorama ulicy, z której widać Kreml. To kategoria B. Jest tu też kategoria C – tam z okna widać ulicę, z której widać drugą ulicę, z której widać Kreml.

– Gdzie łazienka? – spytałam.

Sikh zaczął rozwiązywać krawat.

– Tak nam się śpieszy? – rzucił zalotnie. – O, tam.

Otworzyłam wskazane drzwi i znalazłam się w sypialni. Prawie całą przestrzeń zajmowało olbrzymie dwuosobowe łóżko, w kącie zaś były malutkie drzwi do łazienki, które nawet nie od razu zauważyłam. Wszystko prawidłowo, rozmiary rzeczy powinny być proporcjonalne do miejsca, które zajmują one w życiu. Apartament był bliski ideału, jako że jego struktura dokładnie odpowiadała życiu VIP-a. Do pracy służył salon biznesowy – odebrałeś faks, wysłałeś faks, posiedziałeś na pasiastej kanapie, popatrzyłeś na palmę w donicy, obróciłeś głowę i już widzisz porcelaną w serwantce. Życie osobiste zapewniała sypialnia z łóżkiem na cały pokój: zażyłeś proszek nasenny i lulu. No, albo tak jak teraz.

W łazience odkręciłam prysznic i zaczęłam się szykować do roboty. To było łatwe – po prostu opuściłam trochę spodnie i uwolniłam ogon. Wodę puściłam dla niepoznaki.

Czuję, że dotarłam do punktu, w którym niezbędne są pewne wyjaśnienia, inaczej bowiem moja opowieść brzmiałaby dziwnie. Muszę więc zrobić przerwę i powiedzieć kilka słów o sobie.

Lisice nie mają płci w dosłownym sensie, i jeżeli mówi się o nas „ona”, to tylko z uwagi na zewnętrzne podobieństwo do kobiet. W rzeczywistości jesteśmy podobne do aniołów, to znaczy, nie mamy systemu rozrodczego. Nie rozmnażamy się, ponieważ się nie starzejemy, i możemy żyć dopóty, dopóki nas ktoś nie zabije.

Co do wyglądu zewnętrznego, to ciało mamy szczupłe i zgrabne, bez grama tłuszczu, jak niektóre wysportowane nastolatki. Włosy ogniste rude, cienkie, jedwabiste i lśniące. Wzrostu jesteśmy wysokiego, co w dawnych czasach często nas zdradzało, ale teraz ludzie stali się wyżsi, więc ta cecha zupełnie nas spośród nich nie wyróżnia.

Chociaż nie mamy płci w sensie zdolności do reprodukcji, zachowałyśmy wszystkie jej cechy zewnętrzne – nikt by nie wziął lisicy za mężczyznę. Normalne kobiety na ogół uważają nas za lesbijki. Co myślą o nas lesbijki, też łatwo zgadnąć: *Ja szła s uma, ja szła s uma...* I nic dziwnego: nawet najpiękniejsze kobiety przy nas wyglądają na prymitywne półfabrykaty – jak ociosana z grubsza bryła kamienia obok gotowej rzeźby.

Piersi mamy niewielkie, o doskonałym kształcie, z maleńkimi ciemnobrązowymi sutkami. Tam gdzie u kobiety mieści się główna fabryka snów, my mamy coś zewnętrznie podobnego – organ-fantom, o którego znaczeniu opowiem później. W każdym razie nie służy on do rodzenia dzieci. Z tyłu zaś

posiadamy ogon, puszystą, giętką antenę ogniście rudego koloru. Ogon może się robić większy i mniejszy: w stanie spoczynku przypomina *pony-tail* długości dziesięciu, piętnastu centymetrów, w stanie aktywności może osiągać długość nawet metra.

Kiedy ogon lisicy się wydłuża, pokrywające go rude włosy też stają się gęstsze i dłuższe. Przypomina to fontannę, której ciśnienie kilkakrotnie zwiększono (porównania z męską erekcją raczej bym nie przeprowadzała). Ogon odgrywa w naszym życiu szczególną rolę, i to nie tylko z racji jego niezwyklej piękności. Nie bez powodu nazwałam go anteną. Ogon jest organem, za którego pomocą stwarzamy iluzję.

Jak to robimy?

Powtórzę, za pomocą ogona. I nic więcej nie da się o tym powiedzieć. Nie chcę ukrywać prawdy, ale rzeczywiście trudno coś do tego dodać. Czyż człowiek, jeśli nie jest uczonym, potrafi wytłumaczyć, w jaki sposób widzi? Albo słyszy? Albo myśli? Widzi oczami, słyszy uszami, myśli głową, i to wszystko. Tak samo my – sprowadzamy pomrocność ogonem. A wyjaśnić mechanizmu tego zjawiska, posługując się terminologią naukową, nie jestem w stanie.

Co się tyczy iluzji, to mogą one być rozmaitej natury. Tu wszystko zależy od indywidualnych właściwości lisicy, jej wyobraźni, siły duchowej i szczególnych cech charakteru. Nie bez znaczenia jest to, ilu ludzi jednocześnie ma doznać iluzji.

Kiedyś mogliśmy bardzo wiele. Mogliśmy sprowadzać iluzje czarodziejskich wysp, pokazywać tysięcznym rzeszom płasające po niebie smoki. Mogliśmy stwarzać wizje olbrzymiej armii, zbliżającej się do murów miasta, i wszyscy mieszkańcy widzieli tę armię jednakowo, aż do najdrobniejszych szczegółów ekwipunku i napisów na sztandarach. Ale to potrafiły wielkie, niezrównane lisice starożytności, które za swą

cudotwórczą moc zapłaciły życiem. Niestety, od tej pory cały nasz ród bardzo podupadł – zapewne z powodu ciągłego obcowania z ludźmi.

Moja moc oczywiście nie jest taka jak moc wielkich lisic. Powiem tak: jednego człowieka mogę zmusić, żeby zobaczył wszystko, co zechcę. Dwóch? Prawie zawsze. Trzech? To już zależy od okoliczności. Nie ma tu określonych zasad, wszystko zależy od wyczucia: oceniam swoje możliwości mniej więcej tak jak alpinista stojący w górach nad rozpadliną. On wie, gdzie może przeskoczyć na drugą stronę, a gdzie nie. Jeżeli nie doskoczysz, runiesz w przepaść – to bardzo dokładna analogia z naszą magią.

Lepiej nie próbować przekraczać swoich ograniczeń, ponieważ iluzja o sile zbyt małej, by mogła całkowicie opanować ludzką świadomością, natychmiast całkowicie nas zdradza. Mechanizm tego zjawiska jest skomplikowany, ale rezultat zawsze bywa jednakowy – kiedy człowiek wychodzi nagle z hipnotycznego transu (zrywa się z ogona, jak mawiamy), dostaje ataku o nieprzewidywalnych następstwach. Najczęściej usiłuje zabić lisicę, która w tym momencie jest absolutnie bezbronna.

Chodzi o to, że nasz sport ma pewną pikantną cechę szczególną. W stanie spoczynku ogonek lisicy jest malutki, toteż chowamy go między nogami. Aby antena zadziałała z pełną mocą, należy ją rozpostrzeć. W tym celu trzeba zdjąć spodnie (albo unieść spódniczkę) i rozwinąć ogon w ognisku rudy tren. Siła sugestii wzrasta przy tym kilkadziesiąt razy, i wszystkie poważne problemy rozwiązujemy właśnie tak.

Konieczność obnażenia się mogłaby stwarzać niezręczne i dwuznaczne sytuacje – ale, na szczęście dla lisic, jest tu pewna dogodna okoliczność. Jeśli lisica zdąży się obnażyć dostatecznie szybko, obiekt zapomni wszystko, co widział. Istnieje jakby

strefa mroku, kilkadziesiąt wypadających z pamięci sekund, w czasie których powinniśmy zdążyć zrealizować swój manewr. To samo zdarza się przy omdleniach – ocknąwszy się, człowiek nie pamięta tego, co bezpośrednio poprzedziło utratę przytomności.

No i ostatnia rzecz, którą powinnam powiedzieć. Żywimy się normalnym jedzeniem (dość zbliżonym do diety Atkinsa). Prócz tego jednak potrafimy przyswajać sobie bezpośrednio ludzką energię seksualną, która wydziela się w czasie aktu płciowego – realnego lub iluzorycznego. I o ile zwykle jedzenie po prostu utrzymuje równowagę chemiczną naszego ciała, o tyle energię seksualną można by porównać do najważniejszej witaminy, która czyni nas nieodpartymi i wiecznie młodymi. Wampiryzm? Nie powiedziałabym. My przecież tylko zbieramy to, czym szasta nierozumny człowiek. I jeżeli on tą rozrzutnością doprowadza się do śmierci, czyż można o to winić nas?

W niektórych książkach piszą, że lisice się nie myją i że właśnie dzięki temu się je rozpoznaje. To nie dlatego, że jesteście fletuchami. Po prostu nadmiar energii seksualnej nasycza nas nieśmiertelnym pierwiastkiem pierwotnych źródeł, i nasze ciało oczyszcza się samo poprzez wdychanie porannej świeżości. A lekki zapach, który roztacza, jest niezwykle przyjemny i przypomina wodę kolońską *Essenza di Zegna*, tylko jest subtelniejszy, lżejszy i bez owego dusznego, zmysłowego mistralu w tle.

Mam nadzieję, że teraz moje działanie stanie się bardziej zrozumiałe. A więc odkręciłam wodę, żeby klient słyszał jej szum, potem rozpięłam spodnie i trochę je zsunęłam, uwalniając ogon. Następnie, starając się nie śpieszyć, policzyłam do trzystu (mniej więcej pięć minut) i otworzyłam drzwi.

W popularnych objaśnieniach teorii względności proponuje się często porównanie zdjęć z dwóch kamer – jednej w niezależnym układzie współrzędnych i drugiej, umieszczonej na głowie kosmonauty. W naszym wypadku należałoby raczej powiedzieć: „w głowie”. Co pokazałaby kamera w głowie sikh? Drzwi łazienki się otwały, na progu ukazała się dziewczyna jego marzeń z błękitnego chłopięcego snu, owinięta osłepiająco białym ręcznikiem.

Dziewczyna podeszła do łóżka, uniosła kołdrę i wsunęła się pod nią, lekko zarumieniona: wszystko wskazywało na to, że jest w tym biznesie od niedawna i jeszcze nie nauczyła się profesjonalnej bezpruderyjności. To zobaczył sikh.

Nie wiem, czy w pokojach „Nationalu” są zainstalowane kamery w niezależnym układzie współrzędnych. Personel twierdzi, że nie. Gdyby jednak były, pokazałyby, co następuje:

1) dziewczyna nie miała na sobie żadnego ręcznika. W ogóle się nie rozebrała, tylko zsunęła nieco spodnie, nad którymi sterczał ogon jak pióropuszc;

2) dziewczyna nie weszła do pokoju, ale wczołgała się na czworakach, a jej ogon zakotłosał się w powietrzu i znieruchomiał nad grzbietem, wygięty w rudy znak zapytania;

3) przypominała nie pannę młodą w bieli, ale raczej gotującą się do skoku zwierzę – złe zielone oczy patrzyły czujnie, na twarzy nie było nawet cienia uśmiechu;

4) ponieważ słowo „panna młoda” we współczesnym języku rosyjskim oznacza coś bardzo bliskiego określeniu „szykującą się do skoku zwierzę”, przeciwstawienie to tutaj nie pasuje.

Na mój widok sikh podniósł brwi i zachwiał się. Kiedy człowiek zostaje porażony hipnociosem, po twarzy przebiega mu jakby cień lekkiej odrazy, jak przy uderzeniu pocisku w czasz-

kę: ten, kto widział dokumentalne zdjęcia z egzekucji w Wietnamie, zrozumie, co mam na myśli. Tyle tylko, że po mojej kuli klient nie pada na ziemię.

Sikh uśmiechnął się i ruszył w stronę pustego łóżka, zdejmując po drodze marynarkę. Zaczekałam, aż ułoży się wygodnie, usiadłam obok i otworzyłam torebkę.

Zajmuję się moralnym samodoskonaleniem, toteż unikam patrzenia na klienta od chwili rozpoczęcia czasu płatnego. Wstydę się nawet opowiadać o tym, co się dzieje z człowiekiem w czasie schadzki z lisicą. Wstydę się przede wszystkim za człowieka, ponieważ wygląda okropnie. No i trochę mi wstyd za siebie, jako że to wszystko dzieje się z nim nie samo przez się.

Nie jestem prasą brukową, żeby się zagłębiać w sprośne szczegóły, dlatego powiem tylko, że człowiek zachowuje się wyjątkowo wstrętnie, gdy zaczyna wprowadzać w życie swoje seksualne fantazje. A jego samotność na ringu podnosi tę nieprzyzwoitość do kwadratu. Jeśli zaś w dodatku ów człowiek ma na głowie granatowy turban i jest tak owłosiony, że jego broda zdaje się rosnąć na całym ciele, śmiało można mówić nie o kwadracie, lecz o sześciacie.

Podtrzymywać iluzję jest znacznie łatwiej niż ją stwarzać, wdzierając się do cudzego umysłu. O wszystkim decyduje pierwsza sekunda, dalej to już rutyna. Niemniej dopóki klient przebywa w świecie iluzji, nie należy się odeń oddalać, trzeba grać rolę pielęgniarki. Ponieważ jednak, jak już wspomniałam, przykro jest patrzeć na pacjenta, zazwyczaj zabieram ze sobą książkę. Tak było i tym razem – usiadłam obok łóżka i otworzyłam *Krótką historię czasu* Stephena Hawkinga, zawierającą wiele ciekawych informacji o różnych układach współrzędnych. Kilka razy przeczytałam tę książkę od deski do deski, ale do dziś mi się nie znudziła i za każdym razem śmieję się tak,

jakbym ją czytała po raz pierwszy. Podejrzewam nawet, że jest to postmodernistyczny żart, zwykły kawał. Nawet samo nazwisko Stephen Hawking podejrzenie przypomina innego autora horrorów Stephena Kinga. Tylko horror jest tu odmiennego rodzaju.

Sikh okazał się stosunkowo spokojny – mamrotał coś w swoim ojczystym języku i podrygiwał na samym środku łóżka. Można się było nie obawiać, że spadnie na podłogę. Mimo wszystko jednak, jak wypada pielęgniarce, od czasu do czasu spoglądałam na chorego. Kiedy mu się znudziło obłapienie pustki z góry, zaczął się do niej przyciskać z boku. Potem znów wdrapał się na górę.

Trudno się przyzwyczaić do tego widoku. Człowiekiem wstrząsają skurcze mięśniowe i wówczas wygląda tak, jakby rzeczywiście leżał na niewidzialnym ciele. Opiera się całym ciężarem na niezgrabnie podwinętych dłoniach, czasem na palcach. Żaden człowiek nie utrzymałby się w takiej pozie nawet przez kilka sekund, gdyby ją przyjął świadomie, a w transie może tak trwać całymi godzinami. Ale podobne fenomeny wielokrotnie opisano w literaturze poświęconej hipnozie i Nobla za to odkrycie nie dostanę. Zresztą nie potrzebuję ludzkiej sławy. W ogóle niczego od ludzi nie potrzebuję prócz miłości i pieniędzy.

Ten sposób podtrzymywania wiecznej młodości, który został mi odkryty na Przedwiecznej Drodze Rzeczy, zawsze uważałam za nieco wstydlivy, chociaż stanowczo odrzucam oskarżenia o wampiryzm. Kradzież cudzych sił żywotnych nigdy nie sprawiała mi i nie sprawia żadnej satysfakcji. Chcę powiedzieć: satysfakcji moralnej. Aspekt fizjologiczny jest tu bezsporny, nie podlega jednak ocenie moralnej: najwięksi miłośnicy zwierząt potrafią pożerać żarłocznie krwawe steki, i nie ma w tym żadnej sprzeczności. Poza tym, w odróżnieniu od

ludzi, którzy zabijają zwierzęta, ja już od kilku stuleci nikogo nie pozabawiłam życia. W każdym razie świadomie. Zdarzają się nieszczęśliwe wypadki, ale noc spędzona ze mną jest mniej niebezpieczna niż lot rosyjskim śmigłowcem przy średniej widoczności. A ludzie przecież latają śmigłowcami przy średniej widoczności, prawda? Latają. No i ja jestem takim śmigłowcem.

Poza tym nie uważam, że odbieram energię komuś osobście. Człowiek, który je jabłko, nie wchodzi z tym jabłkiem w osobisty kontakt, lecz po prostu postępuje według ustalonego porządku rzeczy. Swoją rolę w łańcuchu pokarmowym widzę analogicznie. Energia służąca do poczęcia życia nie należy do ludzi. Uczestnicząc w akcie miłosnym, człowiek staje się jej kanałem, przeistaczając się z zamkniętego naczynia w rurę, która na kilka sekund łączy się z niewyczerpanym źródłem sił żywotnych. Ja potrzebuję tylko dostępu do tego źródła, to wszystko.

- A teraz połóż się na brzuszku, kotku - powiedział sikh.
- Zajmiemy się czymś poważniejszym.

Seks analny to ulubiony sport inwestorów portfelowych. Psychoanaliza ma na to bardzo proste wytłumaczenie - wystarczy porównać żargonowy więzienny zwrot „popychać gównem” z wyrażeniem „wkładać kapitał”, i wszystko staje się jasne. Seks analny oceniam pozytywnie. Przy takim akcie organizm mężczyzny wydziela szczególnie wiele sił żywotnych, i jest to najlepszy moment do poboru energii.

Odłożyłam książkę, zamknęłam oczy i dokonałam zwykłej wizualizacji - jin-jang, a wokół osiem płonących trygramów. Następnie wyobraziłam sobie siebie pod postacią czarnej połowy tego znaku, a sikha - w postaci białej połowy. W środku czarnej połowy zapalił się biały punkt, a w środku białej pojawił się taki sam punkt, czarny. Biała połowa zaczęła ciemnieć,

a czarna bieleć, aż wreszcie zamieniły się miejscami. Cała energia znalazła się teraz u mnie. Z punktu widzenia dyletanta był to najdogodniejszy moment do rozłączenia. Ja jednak działałam tylko według metody „narzeczona zwraca kolczyk”, jak nazwano to poetycznie w Państwie Środka sześćset lat temu.

Jeżeli kradniecie cudze siły żywotne, musicie uważać, by nie rozniewać nieba i duchów swoją chciwością. Dlatego pozwoliłam, by sytuacja przeszła w fazę ponownego rozwoju. Strumień energii zatrzymał się, po czym ruszył z powrotem. Moja wizualizacja zaczęła się szybko zmieniać: w środku jasnej połowy jin-jang pojawiła się czarna plamka, a w środku ciemnej jasna. I dopiero kiedy zrobiły się wyraźnie widoczne, przerwałam połączenie energetyczne i rozmyślałam wizualizację w pustce.

Po wysokiej wygranej w kasynie nie należy od razu wychodzić – lepiej jeszcze trochę pograć, żeby nie psuć ludziom krwi. Tak samo jest w naszym procederze. W starożytności wiele lisic poniosło śmierć wyłącznie z chciwości. Wtedy zrozumialiśmy, że należy się dzielić! Niebo nie chmurzy się tak bardzo, kiedy okazujemy współczucie i część energii oddajemy z powrotem. Może się to wydawać mało istotne, ale różnica jest tu taka jak między kradzieżą a aukcją z zastawem. Duchy z formalnego punktu widzenia nie mają za co karać. Sumienia jednak się nie oszuka, toteż lepiej o nim nie myśleć.

Sikh wstał z łóżka i powłókł się do łazienki. Po powrocie położył się na wznak, zapalił papierosa i rozluźniony zaczął opowiadać sąsiedniej poduszce jakąś historię ze swego życia. Mężczyźni po stosunku na jakieś pół godziny robią się gadatliwi i pełni życzliwości, co jest związane z wydzielaniem się w mózgu dopaminy w nagrodę za spełnienie obowiązku. Nie

bardzo słuchałam. Chciałam doczytać do końca o tym, jak się zachowuje czarna dziura, kiedy w rezultacie kollapsu grawitacyjnego jej średnica staje się mniejsza niż obszar czasoprzestrzeni.

W tych modelach astrofizycznych dostrzegałam podtekst erotyczny i zaczynałam podejrzewać, że Stephen Hawking pisze nie o fizyce, tylko o seksie – ale nie o żałosnej ludzkiej kopulacji, lecz o potężnym kosmicznym coitusie, który powołał do życia materię. Wszak nie bez powodu po angielsku „wielki wybuch” brzmi tak samo jak „wielkie pieprzenie” – Big Bang. Wszystko, co we wszechświecie najbardziej tajemnicze, skryte jest w mroku czarnych dziur, ale nie można tam zajrzeć, gdyż – tak jak z sypialni, gdzie zgaszono lampę – nie dochodzi stamtąd światło... Właściwie, rozmyślałam, fizycy są po prostu podglądaczami. Tylko że podglądaczom udaje się czasem zobaczyć przez szczelinę w zasłonach czyjś akt miłosny, a fizycy są tak dalece pokrzywdzeni przez los, że muszą wyobrażać sobie absolutnie wszystko, patrząc w atramentową ciemność...

Sikh dopalił papierosa, dokończył swą opowieść i znów wziął się do roboty – tym razem leżąc na boku. Miarowe skrzywienie sprężyn usypiało. I popełniłam najgłupsze przeoczenie, jakie może się przydarzyć lisicy w czasie pracy. Zasnęłam.

Właściwie zdrzemnęłam się tylko na chwilę i natychmiast się zbudziłam. Ale to wystarczyło. Poczułam, że nie mam kontaktu z sikhem. Podniósłszy wzrok, ujrzałam jego wytrzeszczone oczy. Widział mnie, widział mnie prawdziwą, jak siedzę na krześle ze spuszczoneymi spodniami i sterczącym zza pleców ogonem. A takiej nie powinien mnie widzieć nikt prócz luster i duchów.

W pierwszej chwili pomyślałam, że mam do czynienia z daoshi-zaklinaczem. Była to myśl kompletnie idiotyczna, ponieważ:

- 1) ostatni daoshi, który umiał polować na lisice, żył w osiemnastym wieku;
- 2) nawet gdyby któryś dociągnął do naszych czasów, wątpliwe, czy potrafiłby przybrać postać brodatego sikha z oksfordzkim akcentem – *too freaking much*;
- 3) ponieważ działałam metodą „narzeczona zwraca kolczyk”, daoshi nie mają formalnego prawa do polowania na mnie;
- 4) daoshi nigdy nie szczytują trzy razy z rzędu.

Nasz genetyczny strach przed zaklinaczami siły nieczystej jest jednak na tyle silny, że w chwilach zagrożenia zawsze myślimy o nich. Kiedyś opowiem parę historii o tych typach, a wtedy moje uczucia staną się bardziej zrozumiałe.

Sekundę później dotarło do mnie, że to nie żaden daoshi, ale po prostu mój klient urwał się z ogona. Widok był straszny. Sikh otwierał i zamykał usta jak ryba wyrzucona na piasek. Potem, usiłując zapanować nad nieposłusznym ciałem, wyciągnął przed siebie ręce i zaczął zaciskać i prostować palce. Następnie wydał kilka ochrypłych jęków i nagle gwałtownie zerwał się na nogi.

W tym momencie ocknęłam się z odrętwienia i skoczyłam do łazienki. Sikh rzucił się za mną, ale zdążyłam zamknąć mu drzwi przed nosem. W chwilach zagrożenia mój umysł pracuje bardzo szybko. Od razu wiedziałam, co powinnam zrobić.

W każdej łazience „Nationalu” jest czerwono-biały sznurerek, zwisający z dziurki w ścianie. Nie wiem, do czego jest podłączony, ale wystarczy za niego pociągnąć, by po dziesięciu

sekundach w numerze zadzwonił telefon, a po kolejnych dziesięciu rozległo się pukanie do pokoju. Szarpnęłam sznurek i rzuciłam się z powrotem do drzwi.

Przeżyłam chwile dość denerwujące. Podskakując przy każdym uderzeniu, czekałam na ochroniarzy i liczyłam w duchu, starając się nie śpieszyć. Sikh walił w drzwi ze wszystkich sił, ale udawało mi się go powstrzymać bez szczególnych trudności – był mężczyzną raczej drobnym.

Telefon zadzwonił w dwudziestej sekundzie. Sikh naturalnie nie odebrał. Kiedy po paru chwilach łomotanie ustało, zrozumiałam, że w pokoju są ludzie. Był już najwyższy czas – zawiasy zaczynały się wyginać. Dobięgl mnie łoskot przewracanych mebli, brzęk tłuczonego szkła i niewyraźny okrzyk, coś jak „Kali ma!” Krzyczał sikh. Potem nastąpiła cisza zakłócana tylko dalekimi klaksonami samochodów.

- No to chuj – powiedział męski głos. – Nie upilnowaliśmy.

- Dobrze, że sami się upilnowaliśmy – odparł drugi.

- Też prawda – mruknął pierwszy.

Wolałam sama dać o sobie znać, niż czekać, aż mnie znajdą. Zawołałam żałośnie:

- Ratunku!

Drzwi się otwały.

Na progu stały dwa typy jak szafy – ciemne okulary, garnitury, kable cielistego koloru, zwisające zza uszu... Po prostu kult agenta Smitha, pomyślałam. A propos, byłaby to wspańska religia dla służb bezpieczeństwa – przecież rzymscy legioniści czcili Mitrę.

Jeden z ochroniarzy zamamrotał coś pod nosem – rozróżniłam tylko „trzysta dziewiętnaście” i „wezwanie”. Nie mówił do mnie.

O ile wiem, mikrofon mają przypięty pod klapą marynarki i dlatego często sprawiają wrażenie, jakby mówili sami do

siebie. Niekiedy wygląda to bardzo śmiesznie. Raz widziałam, jak taki mięśniak rozglądał się po damskiej toalecie – otwierał drzwi kabin i mówił śpiewnie: „Tutaj nikogo... Tu też nikogo... Okno zasłania występ ściany...” Gdybym nie wiedziała, o co chodzi, mogłabym pomyśleć, że jego randka nie doszła do skutku, i facet przelewa swój smutek w poezję.

- Ty pociągnęłaś za sznurek? – zapytał drugi ochroniarz.

- Ja – odrzekłam. – A gdzie...

Ochroniarz wskazał otwarte okno z wybitą szybą.

- O tam.

- Czy on – zrobiłam okrągłe oczy – on...

- Tak – odparł ochroniarz. – Rzucił się jak szalony, kiedy nas zobaczył. Braliście narkotyki?

- Jakie narkotyki? Ja tu pracuję już od roku. Wszyscy mnie znają, nigdy nie było problemów.

- No to teraz są. Czego on od ciebie chciał?

- Nie bardzo wiem – bąknęłam. – Chciał, żebym mu zrobiła jakiś fisting. Powiedziałam, że nie potrafię, a wtedy on zaczął... No, w każdym razie schowałam się w łazience i pociągnęłam za sznurek. Resztę sami widzieliście.

- Dobra, dobra. Dokumenty masz?

Pokręciłam przecząco głową. Dasz takiemu paszport, to już go z powrotem nie zobaczysz.

- Może już sobie pójdę? Póki gliny nie przyjechały?

- Co znaczy – „pójdę”? Oszalałaś? Jesteś głównym świadkiem – powiedział ochroniarz. – Zeznasz, coście tutaj robili.

Tego nie miałam w planach. Oceniałam sytuację. Dopóki było ich tylko dwóch, istniała szansa zatuszowania całej sprawy. Ale ta szansa malała z każdą sekundą – wiedziałam, że wkrótce pojawi się tu kupa ludzi.

- Mogę do toalety?

Ochroniarz skinął głową; wróciłam do łazienki. Należało działać szybko, więc nie wahałam się ani sekundy. Spuściłam spodnie, uwolniłam ogon, nachyliłam się i otworzyłam drzwi na całą szerokość. Zrobiłam to gwałtownie, i ochroniarze natychmiast zwrócili się do mnie twarzami.

Uważam, że człowiek najbardziej się otwiera w chwili, kiedy już zauważył lisi ogon, ale jeszcze nie znalazł się pod wpływem sugestii. Klient zazwyczaj zdąża jeszcze okazać swoje nastawienie do tego, co ujrzał. To wystarczy, by zrozumieć, z kim ma się do czynienia.

Pospolici i ograniczeni nieudacznicy wykrzywają się w grymasie ponurego niedowierzania. Natomiast na twarzach ludzi o pewnym potencjale intelektualnym maluje się coś w rodzaju radosnego zdumienia.

Jeden z ochroniarzy skrzywił się. Drugi wybałuszył oczy (było to widać nawet przez okulary) i otworzył usta jak dziecko na widok obiecanego przez fotografa ptaszka. Wyglądało to bardzo sympatycznie.

Oczywiście nie byłam w stanie całkowicie usunąć swego obrazu z ich pamięci – w tym celu trzeba by było posłać im kulę w łeb. Mogłam jedynie zmienić kontekst wspomnienia – zasugerowałam im, że spotkali mnie na korytarzu po drodze do pokoju. Następnie skłoniłam ich, by weszli do łazienki. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, podniosłam z podłogi książkę Stephena Hawkinga, wrzuciłam ją do torby i wyskoczyłam na korytarz.

Na schodach stał jeszcze jeden ochroniarz. Zobaczył mnie i kiwnął, żebym podeszła. Kiedy się zbliżyłam, przeciągnął dłonią po moich pośladkach. Z całej siły zacisnęłam między nimi ogonek. W innej sytuacji boleśnie bym go za to uszczypnęła. Teraz jednak, nie wiedząc, czym się to wszystko skończy, poprzestałam tylko na trzepnięciu go po łapie. Pogroził mi

palcem, po czym gest ten płynnie przeszedł w inny: jego kciuk i palec wskazujący złączyły się i potarły o siebie.

Zrozumiałam. Zazwyczaj dziewczęta mojej profesji płacą sto dolarów przy wyjściu, ale teraz, z uwagi na szczególne okoliczności, wypadało się rozliczyć na miejscu. Wyjęłam z portmonetki banknot z prezydentem Franklinem, który ochroniarz chwycił tymi samymi dwoma palcami. Oszczędność tego ruchu odznaczała się pewnym szczególnym pięknem: pogroził, przypomniał, wziął. Żadnego niepotrzebnego drgnienia mięśni. Jak mawiał japoński szermierz Minamoto Musashi, poznać mistrza po postawie.

Zeszłam po ozdobionych liliami schodach i bez przeszkód wydostałam się na ulicę. Na prawo od wejścia zebrał się już tłum, w którym było kilku milicjantów – tam widocznie leżał biedny sikh. Ruszyłam w drugą stronę i po kilku krokach znalazłam się za rogiem. Teraz musiałam tylko złapać taksówkę. Jedna zatrzymała się prawie od razu.

- Bitca – powiedziałam. – Ośrodek jeździecki.

- Trzysta pięćdziesiąt – odparł kierowca.

Dziś był jego dobry dzień. Wskoczyłam na tylne siedzenie, zatrzasnęłam drzwi i taksówka powiozła mnie jak najdalej od nieszczęścia, które jeszcze pięć minut temu wydawało się nieuniknione.

Nie miałam sobie nic do wyrzucenia, ale humor mi się popsuł. Mało że zginął całkiem niewinny człowiek, na dodatek straciłam pracę w „Nationalu” – teraz przez dłuższy czas nie będę się mogła tam pokazać. Z tego wynika, że muszę poszukać innych możliwości zarobku. I to od jutra – pieniądze mi się kończyły, a oddana ochroniarzowi stowa już oznaczała deficyt budżetowy.

Pewien mój znajomy mawiał, że zło w naszym życiu mogą pokonać tylko pieniądze. Interesujące spostrzeżenie, chociaż

z punktu widzenia metafizyki nie bez wad: należałoby tu mówić nie o zwycięstwie nad złem, ale o możliwości wykupienia się odeń na jakiś czas. Przy braku pieniędzy jednak zło zwycięża w ciągu kilku dni, to rzecz sprawdzona.

Mogłabym się wzbogacić, gdybym była oszustką. Ale cnotliwa lisica musi zarabiać tylko prostytutką i w żadnym wypadku nie może wykorzystywać swego hipnotycznego daru w innych celach – to prawo niebios, którego nie wolno łamać. Oczywiście, niekiedy musi się to robić. Sama dopiero co zamydliłam oczy dwóm ochroniarzom. Ale tak się zachowywać wolno tylko wtedy, gdy w niebezpieczeństwie jest nasze życie lub wolność. Lisica nie powinna nawet myśleć o ufnych inkasentach lub spółkach z ograniczoną odpowiedzialnością. Jeśli zaś pokusa staje się zbyt silna, powinna się podbudować przykładami z historii. Jean Jacques Rousseau mógł się tarzać w forsie, a czym zarabiał przez całe życie? Przepisywaniem nut.

Ulokować się w innym hotelu nie było łatwo, i w najbliższej przyszłości widziałam tylko dwa wyjścia: ulica albo Internet. Internet wydawał mi się bardziej pociągający, bądź co bądź, to główny kierunek postępu, tak więc kupczenie sobą za jego pośrednictwem było perspektywistyczne i stylowe. Ciekawe, myślałam, wszyscy bez końca rozprawiają o postępie. A na czym on polega? Na tym, że najstarsze profesje obrastają elektronicznym interfejsem – i tyle. Natury rzeczy postęp nie zmienia.

Kierowca spostrzegł moje przygnębienie.

– Co, córeńko? – spytał. – Ktoś ci zrobił przykrość?

– Uhm – przytaknęłam.

Ostatni zrobił mi przykrość on sam, żądając za przejazd trzysta pięćdziesiąt rubli.

– Pluń na to – poradził kierowca. – Wiesz, ile razy dziennie ktoś robi mi przykrość? Gdybym sobie to wszystko brał do głowy, to miałbym łeb jak balon z gównem. Pluń na to, mówię ci.

Jutro już nie będziesz o tym pamiętać. A życie jest długie, sama wiesz.

- Wiem - powiedziałam. - Tylko jak to zrobić, jak plunąć?

- Po prostu pluń i już. Pomyśl o czymś przyjemnym.

- Tylko skąd to wziąć?

Taksówkarz zerknął na mnie w lusterko.

- Nie ma w twoim życiu nic przyjemnego?

- Nie - odrzekłam.

- Jak to?

- Ano tak.

- Co, same cierpienia?

- Tak. I w pana życiu też.

- No! - Taksjusz zaśmiał się. - Co ty możesz o tym wiedzieć?

- Wiem. Inaczej by pan tu nie siedział.

- Dlaczego?

- Wyjaśniłabym to, ale nie wiem, czy pan zrozumie.

- Patrzcie ją! - parsknął kierowca. - Co, myślisz, że jestem głupszy od ciebie? Zrozumiem na pewno, skoro ty rozumiałaś.

- Dobrze. Czy wie pan, że cierpienie to właśnie materia, z której został stworzony świat?

- Dlaczego?

- To można wytłumaczyć tylko na przykładzie.

- Wal.

- Zna pan historię o baronie Münchhausenie, który sam siebie wyciągnął za włosy z bagna?

- Znam - powiedział kierowca. - Widziałem nawet film.

- Realność tego świata opiera się na podobnych podstawach. Tylko trzeba sobie wyobrazić, że Münchhausen wisi w kompletnej pustce, z całej siły ściskając się za jaja, i krzyczy z nieznośnego bólu. Z jednej strony, jest nam go jakby żal. Z drugiej, pikanteria sytuacji polega na tym, że wystarczy, by

puścił swoje jaja, a natychmiast zniknie, albowiem nie jest niczym więcej niż naczyniem bólu z siwym warkoczykiem, i jeżeli zniknie ból, zniknie i on sam.

- Nauczylesz się tego w szkole? - zapytał kierowca. - Czy w domu?

- Nie - odparłam. - Po drodze ze szkoły do domu. Miałam bardzo daleko, różnych rzeczy podczas jazdy się nasłuchiwałam i napatrywałam. Zrozumiał pan wymowę przykładu?

- Zrozumiałem, zrozumiałem - zapewnił. - Nie jestem głupi. I co ten twój Münchhausen, boi się puścić swoje jaja?

- Mówię przecież, że wtedy zniknie.

- To może lepiej dla niego by było zniknąć? Po kiego komu takie życie?

- Trafna uwaga. Właśnie dlatego istnieje umowa społeczna.

- Umowa społeczna? Jaka umowa społeczna?

- Każdy konkretny, pojedynczy Münchhausen może się zdecydować puścić swoje jaja, ale...

Przypomniałam sobie racze oczy sikha i umilkłam. Któraś z moich siostrzyczek mówiła, że kiedy w czasie nieudanego seansu klient urywa się z ogona, przez kilka sekund widzi prawdę. I ta prawda jest dla człowieka tak nieznośna, że przede wszystkim chce zabić lisicę, przez którą prawda mu się ukazała, a potem - samego siebie... Inne lisice twierdzą, że człowiek w tym momencie pojmuje, iż fizyczne życie to głupia i wstydlawa pomyłka. I w pierwszym porywie pragnie podziękować lisicy, która otworzyła mu oczy. A dopiero potem naprawia błąd własnej egzystencji. Wszystko to oczywiście brednie. Ale łatwo zrozumieć, skąd się biorą takie pogłoski.

- Co „ale”? - zapytał kierowca.

Powróciłam do rzeczywistości.

- Ale kiedy sześć miliardów Münchhausenów nawzajem trzyma się za jaja, światu nic nie zagraża.

- Dlaczego?

- To bardzo proste. Jak pan słusznie zauważył, sam siebie Münchhausen może puścić. Ale im większy ból sprawia mu ktoś inny, tym boleśniej on ściska tych dwóch, których trzyma sam. I tak sześć miliardów razy. Rozumie pan?

- Tfu! - splunął taksówkarz. - Coś takiego może wymyślić tylko baba.

- I znów nie mogę się z panem zgodzić - powiedziałam. - Jest to czysto męski obraz wszechświata. Powiedziałabym nawet, że szowinistycznie męski. Dla kobiety po prostu nie ma w nim miejsca.

- Dlaczego?

- Dlatego, że kobieta nie ma jaj.

Dalej jechaliśmy już w milczeniu.

Czasem tak bywa, co tu ukrywać - zwalisz na człowieka jakiś ciężar, i lżej ci się robi na duszy. Czemu tak się dzieje? Przecież to niczego nie zmienia - ani w twoim życiu, ani w cudzym. Nie mam pojęcia. Ale to nic, niech się facet pozastanawia nad istotą rzeczy, to jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Następnego ranka sprawa sikha znalazła się w wiadomościach. Wszłam do Internetu wcale nie po to, ale jakiś wredny wirus wpisał mi na stronie startowej „plotki.ru” i ciągle nie mogłam się zebrać, żeby to zmienić. Zmusiłam się i doczytałam notatkę do końca:

INDYJSKI BIZNESMEN POPEŁNIŁ SAMOBÓJSTWO NA OCZACH SŁUŻBY BEZPIECZEŃSTWA

Moskiewski hotel „National” stanie się niebawem w świadomości społecznej strefą podwyższonego ryzyka. W pamięci moskiewian nie zatębiał się jeszcze zamach terrorystyczny przy wejściu do hotelu, a już nastąpił nowy wypadek: czterdziestotrzyletni biznesmen

z Pendżabu popełnił samobójstwo, rzucając się z okna piątego piętra. Tak w każdym razie twierdzą dwaj ochroniarze hotelowi, którzy znajdowali się przy nim w momencie tragedii. Zeznali, że gość z Indii wezwał ich, pociągając za sznur specjalnej sygnalizacji, a kiedy weszli do pokoju, bez żadnego wyraźnego powodu z rozędu wyskoczył oknem. Zginął na miejscu, uderzając o asfalt. Ustalono, że na krótko przed tragedią biznesmena odwiedziła dziewczyna z półświatka. Śledztwo w toku.

Dlaczego piąte piętro, pomyślałam, przecież pokój miał numer trzysta dziewiętnaście. Chociaż tak, mają tam taką bajerancką europejską numerację – pierwsze dwa poziomy się nie liczą, więc trzysta dziewiętnaście wypada akurat na piątym piętrze...

Następnie przeskoczyłam w myślach do tajemniczego słowa „półświatek”. Ciekawe, dlaczego nie „ćwierćświatek”? Taka metoda słowotwórcza pozwoliłaby z matematyczną dokładnością określić głębię upadku kobiety. Z pewnością przez dwa tysiące lat doszłam do nie było jakiego mianownika...

W tym momencie zrobiło mi się wreszcie wstyd za moją bezduszność. Stracił życie człowiek w jakimś sensie mi bliski – a ja liczę piętra i ułamki. Powiedzmy, że bliski w sensie umownie-chwilowo-halucynacyjnym. Tak czy owak wypadałoby się zdobyć na współczucie, choćby równie ulotne jak nasza bliskość. Ale nie czułam go wcale – serce za nic nie chciało go wydzielić. Jak mawiają moje prowincjonalne koleżanki po fachu, „suchy wstaniec”. Zamiast tego jeszcze raz zaczęłam się zastanawiać nad przyczynami wczorajszego incydentu.

1) powodem mogła być astralna aura hotelu „National”, gdzie w galerii fotograficznej „Znakomici goście” Isadora Duncan wisi obok Dzierżyńskiego;

2) zajście stanowiło karmiczne echo jakiegoś krwawego biznesowego rytuału, które tak lubią w Azji;

3) było pośrednim następstwem odejścia Indii od nauk Buddy, które nastąpiło w średniowieczu;

4) sikh był jednak skrytym wyznawcą bogini Kali – nie bez powodu, rzucając się z okna, krzyknął: „Kali ma!”

Muszę wyjaśnić, że miewam do pięciu głosów wewnętrznych, z których każdy prowadzi własny wewnętrzny dialog; poza tym głosy mogą spierać się między sobą na dowolny temat. Ja się do tych sporów nie mieszam, tylko słucham, czekając na jakąś odpowiedź. Głosy te nie posiadają imion. Pod tym względem prosta ze mnie istota – niektóre lisice mają takich głosów nawet po czterdzieści, o wielce skomplikowanych, pięknych imionach.

Stare lisice powiadają, że te głosy należały do dusz, które wchłonęłyśmy w czasach pierwotnego chaosu; według legendy, dusze te zagnieździły się w naszej wewnętrznej przestrzeni, wchodząc w rodzaj symbiozy z naszym własnym jestestwem. To jednak należy raczej włożyć między bajki, ponieważ każdy z tych głosów jest mój, chociaż są różne. Rozumując jak tamte stare lisice, można by rzec, że ja sama jestem duszą, którą ktoś zjadł w zamierzchłej przeszłości. Wszystko to jest tylko przedstawianiem składników, a sumaryczna A Huli się przez to nie zmienia.

Z powodu tych głosów lisice myślą inaczej niż ludzie: różnica polega na tym, że zamiast jednego procesu myślowego w naszej świadomości toczy się ich kilka. Umysł kroczy jednocześnie różnymi drogami, wypatrując, na której z nich wcześniej zabłyśnie prawda. Dla zilustrowania tej szczególnej cechy mojej osobowości oznaczam poszczególne poziomy swego dialogu wewnętrznego cyframi 1), 2), 3) i tak dalej.

Owe procesy myślowe nigdy się ze sobą nie krzyżują – są całkowicie autonomiczne, ale moja świadomość uczestniczy w każdym z nich. Niektórzy cyrkowcy potrafią żonglować jednocześnie wielką liczbą różnych przedmiotów. To, co oni robią za pomocą ciała, ja robię za pomocą umysłu – ot, i wszystko. Z powodu tej cechy mam skłonność do sporządzania list i rozbijania wszystkiego na punkty i podpunkty – nawet tam, gdzie człowiek nie dopatrzyłby się takiej potrzeby. Z góry przepraszam, jeżeli takie podziały i wyliczenia wystąpią na tych stronicach. Właśnie tak odbywa się to w mojej głowie.

Najwyraźniej, jak mogłam, wyobraziłam sobie zmarłego sikhę, trzykrotnie wyrecytowałam mantrę żałobną i zalogowałam się na „reuters.com”, żeby się dowiedzieć, co nowego na świecie. Na świecie wszystko było dokładnie tak samo jak przez ostatnie dziesięć tysięcy lat. Pośmiałam się chwilę z nagłówka „America Ponders Mad Cow Strategy”^{**} i przeniosłam się do swej poczty elektronicznej.

Oprócz propozycji wydłużenia penisa i zazipowanego pliku, którego wolałam nie otwierać mimo kuszącego tematu („Britney Blowing a Horse”^{***}), czekała mnie radosna niespodzianka – list od siostrzyczki I Huli, od której dawno nie miałam żadnych wiadomości.

Znałam siostrzyczkę I Huli od epoki Walczących Królestw. Była to wyjątkowa cwaniara. Wiele stuleci temu zasłynęła na całe Chiny jako cesarska nałożnica imieniem Śmigła Jaskółka. W rezultacie obserwacji jej lotów cesarz przeżył o dwadzieścia lat mniej, niżby mógł. I Huli została za to ukarana przez duchy-opiekunów i usunęła się w cień; zaczęła się specjalizować

* Ameryka obmyśla strategię szalonych krów (ang.). Chodzi o strategię działania, mającą powstrzymać epidemię choroby szalonych krów (przyp. tłum.).

** Britney Spears obciąga koniowi (ang.).

w bogatych arystokratach, których w tajemnicy przed światem doiła w zaciszu podmiejskich rezydencji. Przez ostatnie kilkadziesiąt lat mieszkała w Anglii.

List był bardzo krótki:

Cześć, ruda!

Co u Ciebie? Mam nadzieję, że wszystko dobrze. Przepraszam, że zwracam Ci głowę takim głupstwem, ale potrzebuję Twojej konsultacji. Podobno w Moskwie jest świątynia Chrystusa Zbawcy, którą najpierw zburzono, nie pozostawiając kamienia na kamieniu, a potem odbudowano w poprzednim kształcie. Czy to prawda? Co o tym wiesz? Odpowiedz szybko!

*Kocham i pamiętam,
Twoja I*

Dziwne, pomyślałam, o co jej nagle chodzi? Ale prosiła, żeby szybko odpowiedzieć. Kliknęłam na ikonę „odpowiedz”.

Cześć, rudzielcu!

U nas na północy bez zmian. Wkrótce napiszę bardziej szczegółowo, a na razie odpowiem tylko na Twoje pytanie. Tak, w Moskwie jest świątynia Chrystusa Zbawiciela (tak brzmi prawidłowa nazwa), którą wysadzono w powietrze po rewolucji i odbudowano pod koniec ubiegłego wieku. Rzeczywiście nie pozostał z niej kamień na kamieniu – na jej miejscu przez długie lata był basen. A teraz basen zasypano i znowu wzniesiono świątynię. Z kulturowego punktu widzenia jest to wydarzenie niejednoznaczne – na pewnej demonstracji widziałam taki transparent: „Żądamy odbudowania basenu «Moskwa», barbarzyńsko zniszczonego przez kleptokrację!” Co do mnie, to ani razu nie odwiedziłam żadnego z tych zakładów i nie mam własnego zdania na ten temat.

*Kocham i pamiętam,
Twoja A*

Wysłałam list i weszłam na stronę „dziwki.ru”.

Wyglądała malowniczo – nawet reklamowe *pop-ups* w większości były tematyczne:

*Zobaczyć Paryż i żyć!
Durex anal extra strong.*

Tu też pojawiły się nowe ogłoszenia. Rynek poszukiwał nowych dojsć i nisz: znajdowałam prezerwatywy Occam’s Razor z portretem średniowiecznego scholastyka i hasłem „Bytów nie należy mnożyć bez konieczności”. Williama Occama znałam osobiście. Chyba w czternastym wieku powiedziałam mu przy spotkaniu, że od jego zasady-brzytwy jest tylko jeden krok do duchowej kastracji. Długo uganiał się za mną po swoim monachijskim domu, a dwa wieki później zaczęła się Reformacja. Nie miałam jednak czasu na wspomnienia – musiałam jak najszybciej ułożyć ogłoszenie, a w tym celu należało przejrzyć istniejące wzorce.

Na szczęście było ich całe mnóstwo. Zainteresowała mnie pewna osobliwość gatunku: wiele dziewcząt ozdabiało swoje ogłoszenia wierszowanymi wstawkami, niemającymi nic wspólnego z wachlarzem usług – taki słowny piercing, w którym ja też postanowiłam się poćwiczyć.

Po godzinie miałam gotowy tekst. Wymagający krytyk nazwałby go pewnie kompilacją, ale nie zamierzałam przecież wyrabiać sobie nazwiska w kręgach literackich. Moje ogłoszenie zaczynało się tak:

*Jestem sexy, chociaż mała,
I w tych rzeczach doskonała!*

*Buzia, talia, pupa, biust, wszystko jest, na każdy gust!
Seks klasyczny, seks analny, temperament tropikalny!*

Drugi dwuwiersz, oddzielony od pierwszego pustą liniijką, nie był z nim związany ani rymem, ani metrum – jak dwa różne kolczyki w jednym uchu. Wyglądało to bardzo autentycznie, inne dziewczyny robiły tak samo. Po napisanych tłustym drukiem wierszykach szedł blok informacyjny:

Bajka z Twoim Końcem!

Małe piersi za dużą kasę. Rudy kociaczek czeka na telefon od zamężnego pana. Seks klasyczny, głęboka i królewska mineta (deep throat), anal, petting, bandage, chłosta (w ofercie Rosyjska Nabajka), foot-fetysze, strapon, gałązka sakury, miłość lesbijska, stymulacja oralna i analna, cunnilinctio, zamiana ról, złoty i srebrny deszcz, fisting, piercing, kateter, scat, piss, łagodna i głęboka dominacja, usługi Pani i Niewolnicy. Face control. Przyjazd na wezwanie. Możesz wiele. Prawie wszystko. Przeleć mnie i zapomnij! Jeśli potrafisz...

Niczego sobie kociaczek, pomyślałam, przeczytawszy gotowy tekst. Szczerze mówiąc, nie bardzo się orientowałam, co ma z tym wszystkim wspólnego bandage i gałązka sakury. Fisting też wyobrażałam sobie bardzo mgliście, ale ponieważ w innych ogłoszeniach reklamowano go jako już to oralny, już to waginalny, było to takie samo obrzydlistwo jak cała reszta. Fisting... może to od słowa *fist* – kiedy się wsadza pięść? Czyli że może być i *per os*? A w jednym z ogłoszeń widziałam takie oto wyliczenie: „mineta, piar, cunnilinctio”. O co tu chodziło? Albo „ strapon”. Brzmi jak coś kosmicznego w stylu romantycznych lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Ale chyba nie o to chodzi. Na szczęście, ja nie muszę wiedzieć, co to jest strapon – najważniejsze, żeby wyobrażał to sobie klient.

Sądzę, że nikt poza lisicą nie zrozumie, jak mogę świadczyć usługę „ strapon”, nie wiedząc, co to jest. Trudno coś takiego wytłumaczyć, można tylko przywołać analogie. Odbieram

świadomość klienta jako sprężystą ciepłą kulę, i aby wysłać biedaczynę do świata jego marzeń, muszę najpierw zrobić swoim ogonkiem wgniecenie w najgorętszym miejscu tej kuli, a potem sprawić, by wgniecenie się wygładziło i rozeszło falkami po całej powierzchni. I to będzie strapon. A jeśli skłoni się łagodnie owo wgniecenie, żeby się wywinęło na drugą stronę i zamieniło w małeńką cipkę, to będzie taki strapon, że klient, śliniąc się, będzie go wspominać dopóty, dopóki jego umysł nie pogrąży się w zimnym oceanie choroby Alzheimera.

To samo odnosi się do fistingu, łagodnej dominacji i tak dalej – nawet jeśli chcecie kijem bejsbolowym zatłuc na śmierć niemłodego transwestytę po wyższej szkole muzycznej i ze złotym zębem w ustach, to i w tym wątpliwym projekcie mogę wam służyć pomocą. Ale dla mnie samej lepiej jest nie wiedzieć do końca, co się dzieje w ludzkiej świadomości – w ten sposób łatwiej zachować czystość duszy.

Dlatego też nie miałam wątpliwości, że sobie poradzę z całym wachlarzem proponowanych usług, jakiegokolwiek by były. Mimo to w tekście czegoś mi brakowało. Po namyśle dodałam po słowach „rudy kociaczek czeka na telefon od zamożnego pana” następującą wstawkę:

Transseksualistka, uniwersalistka, penis 26x4. Zawsze przestrzegać zasad – to znaczy pozbawić się wszystkich przyjemności! Trzeba umieć popęłniać głupstwa, których domaga się od nas nasza natura.

Ach, gdyby oni wiedzieli, czym jest nasza natura, westchnęłam i usunęłam transseksualistkę. Jak mawiał kucharz wielkiego księcia Michała Aleksandrowicza, kaszy masłem nie zepsujesz, ale łatwo zepsuć masło kaszą. Tu potrzebne było co innego... Po zastanowieniu postanowiłam zamienić „usługi Pani i Niewolnicy” na „usługi Pani, Niewolnicy i Pięknej

Damy”. Nie pociągało to za sobą dodatkowego wysiłku fizycznego, choćby tylko wyobrażonego, ale otwierało szerokie pole fantazji.

A może zalakierować całość klasyką? Aleksandrem Błockiem?

„Szczęśliwości nieznane krainy te objęcia przede mną otwarły, i, spadając, manele dzwoniły głośniejsze niżli w snach jego marnych...”

Albo tak:

„Szczęścia dziwne, nieznane krainy ujrzał w oczach zwężonych, srogich, i, spadając, manele dzwoniły głośniejsze niżli w snach jego ubogich...”

Sny, marzenia... Moja znajoma kurtyzana z czasów Późniejszej Dynastii Han często mawiała, że najsłabszym miejscem mężczyzny jest jego marzycielski umysł. Kiedy się zestarzała, oddano ją wodzowi koczowników w charakterze okupu, a ten ugotował nieszczęsną w kobyliim mleku, mając nadzieję przywrócić jej młodość. Tak oto słabość staje się niekiedy straszliwą siłą.

Nie, zdecydowałam, Błocka tu wstawiać nie należy – jego poezja oczyszcza duszę i budzi w niej wzniosłe emocje. A jeśli w kliencie zbudzą się wzniosłe emocje, my stracimy klienta, wie o tym każdy specjalista od marketingu. Wobec tego zamiast cytatu ze *Słowiczego sadu* dopisałam na końcu następującego dwuwiersza:

*Kipię żądzą, więc zadzwoń, proszę,
Obiecuję zmysłowe rozkosze!*

Doskonalić tekst można by w nieskończoność – wiadomo, że u prawdziwego poety proces ten trwa do momentu, kiedy wydawca przychodzi po rękopis. W tym wypadku musiałam

odebrać rękopis sobie samej. Dlatego postanowiłam postawić kropkę.

Nigdy jeszcze nie miałam do czynienia z witryną „dziwki.ru”. Procedura zamieszczenia informacji okazała się taka sama jak w innych podobnych witrynach, była jednak pewna nieprzyjemna różnica – ogłoszenie i zdjęcia opłacało się osobno. Umieszczenie gołego tekstu kosztowało sto pięćdziesiąt dolarów, zdjęcia były po dwadzieścia za sztukę. Miałam trzy WMZ – karty, które honorowano w Internecie – na sto, pięćdziesiąt i dwadzieścia dolarów. Najwyraźniej wszystko było dostosowane do tych nominałów. Mogłam zamieścić tylko jedno zdjęcie – albo jechać na stację metra Pawelecka po nowy zapas pieniędzy internetowych. Postanowiłam przestać na jednym zdjęciu, ale wysłać je natychmiast, żeby jutro już znalazło się w sieci. Szybko tego zrobić jednak mi się nie udało – wybierałam fotografię prawie godzinę.

Wybór był trudny, bo każdy wariant ukazywał usługi z mojej listy w innym świetle, nadając straponowi i fistingowi nowe odcienie znaczeniowe. W końcu zdecydowałam się na stare, czarno-białe zdjęcie – na tle półek z książkami, z tomikiem Chodasiewicza w ręku. Była to *Ciężka lira*, a sama fotografia, zrobiona w latach czterdziestych, wyglądała dziwnie i zagadkowo – rzekłbyś, migotał na niej pożegnalny odblask Srebrnego Wieku, co zreżymie nawiązywało do ostatniej wymienionej usługi. Jak to dobrze, że zdążyłam poddać obróbce cyfrowej najcenniejsze negatywy i dagerotypy!

Pozostało mi tylko wybrać pseudonim twórczy. Odszukawszy przez „Google” odpowiedni wykaz, wzięłam z samego początku imię „Adela”. Piekielne skojarzenie...*

Zdjęcie było dobrej jakości i zajmowało ćwierć megabajta. Kliknęłam „wyślij”. Moja buzia uśmiechnęła się posłusznie,

* *Ad*(ros.) – piekło.

zanurkowała przewodami w ścianę, pomknęła przez kabel telefoniczny, przeskoczyła po elektrycznym kręgosłupie ulicy, przemieszała się z innymi imionami i twarzami, pędzącymi Bóg wie skąd i dokąd, i pognała do dalekiej sieciowej śluzy, do ledwie widocznych na horyzoncie brył niebieskoszarych atlantyckich serwerów...

Telefon w związku z ogłoszeniem zadzwonił następnego rana, trochę po jedenastej. Klient nazywał się Paweł Iwanowicz. Zainteresował go ten fragment mojego ogłoszenia, w którym była mowa o Rosyjskiej Nahajce. Jak się okazało, Rosyjską Nahajkę miał własną, i to nie jedną, ale aż pięć – cztery na specjalnym rzeźbionym stojaku i jedną w torbie tenisowej.

Chcę się od razu zastrzec – z przyjemnością wyrzuciłabym ze swoich zapisków wszelkie wzmianki o Pawle Iwanowiczu, ale bez niego opowieść byłaby niepełna. Odegrał w moim życiu ważną rolę, tak jak może ją odegrać zaplute podziemne przejście, którym bohaterka przypadkowo przedostaje się na drugi brzeg przeznaczenia. Dlatego też muszę jednak o nim opowiedzieć i przepraszam za nieapetyczne szczegóły. W niektórych grach komputerowych jest klawisz „Tx2”, po którego naciśnięciu czas płynie dwa razy szybciej. Ja też tak zrobię – nacisnę taki klawisz i postaram się zawrzeć wszystko w jak najmniejszej objętości.

Chyba Diogenes Laertios opowiadał o filozofie, który trzy lata uczył się obojętności, ofiarowując monetę każdemu, kto go obraził. Po zakończeniu nauki filozof przestał rozdawać pieniądze, ale nauka nie poszła w las: pewnego razu obraził go jakiś gbur, a on, zamiast rzucić się na niego z pięściami, wybuchnął śmiechem. „Coś takiego – powiedział – dziś dostałem za darmo to, za co przez całe trzy lata płaciłem!”

Kiedy przeczytałam to po raz pierwszy, pozazdrościłam, że nie nabyłam w swoim życiu podobnych doświadczeń. Po poznaniu Pawła Iwanowicza rozumiałam, że takie doświadczenie już mam.

Paweł Iwanowicz był niemłodym półinteligentem, przypominającym nadpaloną włochatą świecę różowego koloru. Dawniej prawicowy liberał (nie rozumiałam sensu tego dziwnego połączenia), po wiadomych wydarzeniach tak dalece się pokajał, że wziął na siebie osobistą odpowiedzialność za nieszczęścia ojczyzny. Dla ukojenia duszy musiał raz albo dwa razy w miesiącu przyjmować chłostę od Młodej Rosji, którą skazał na nędzę, zmuszając, by zamiast studiować na uniwersytecie, zarabiała na życie biczowaniem starych zbrojców. W ten sposób powstawał zamknięty krąg, nad którym może bym się serio zastanowiła, gdyby Paweł Iwanowicz nie masturbował się w czasie seansu. To rozwiało całą tajemniczość.

Gdyby w roli Młodej Rosji występowała prawdziwa prostytutka skądś z Ukrainy, nigdy nie udałoby mu się umówić na godzinny seans za pięćdziesiąt dolarów. Chłosta to ciężka praca, nawet jeśli się ją jedynie sugeruje. Zaczęłam jednak jeździć do Pawła Iwanowicza nie tylko dla pieniędzy, ale także dlatego, że potwornie mnie drażnił, wywołując prawdziwe ataki furii. Musiałam mobilizować całą siłę woli, żeby się opanować. Ze względów praktycznych powinnam była się nastawić na bogatszych sponsorów. Ale charakter należy ćwiczyć właśnie w trudnych okresach życia, kiedy nie widzi się w tym sensu. Dopiero wówczas przynosi to korzyść.

Żeby dobrze rozumiała własną rolę w całym tym akcie, Paweł Iwanowicz opowiedział mi szczegółowo o przyczynach swej pokuty. Chciałam zażądać za owo zrozumienie jeszcze pięćdziesięciu dolarów za godzinę i czekałam na moment, kiedy będzie można poruszyć sprawę taksy. Ale ten moment

wciąż nie nadchodził: Paweł Iwanowicz mówił niezwykle długo. Za to z jego wyjaśnień zaczerpnęłam masę interesujących informacji.

- A więc, moja droga, w latach 1940-1946 wielkość produkcji przemysłowej w Rosji spadła o dwadzieścia pięć procent. Przy wszystkich okropnościach wojny. Natomiast w latach 1990-1999 - o ponad połowę... Bardziej niż po Czyngis-chanie i Hitlerze razem wziętych. I nie jest to gadanina komuchów, pisze o tym Joseph Stiglitz, główny ekonomista Banku Światowego i laureat Nagrody Nobla. Nie czytałaś *Globalization and its Discontents*? Straszna książka. A co się tyczy Ameryki, to ona w ogóle nie potrzebuje bomby atomowej, póki istnieje WTO i Międzynarodowy Fundusz Walutowy...

Z tego wszystkiego omal nie zapomniałam, po co siedzę w jego mieszkaniu, a przypomniała mi o tym skórzana nahajka, leżąca między nami na stole. Wkrótce wyjaśniło się też, że skrucha Pawła Iwanowicza jest totalna - obejmuje nie tylko aspekt ekonomiczny rosyjskich przemian, ale i historię kulturalną ostatnich dziesięcioleci.

- Czy ty wiesz - mówił, uważnie patrząc mi w oczy - że CIA w swoim czasie finansowała ruch beatników i rewolucję psychodeliczną? Celem było stworzenie kuszącego obrazu Zachodu w oczach młodzieży. Trzeba było udawać, że *America has fun* - bawi się. I udawaliśmy - nawet sami na chwilę uwierzyliśmy. Ale najśmieszniejsze jest to, że wszystkie te dzieci generałów LSD, które spróbowały KGB i sumiennie naśladowały beatników, rzeczywiście szły na pasku CIA, to jest popełniały ten właśnie grzech, o który obwiniała je partia! A przecież była to przyszła inteligencja, system nerwowy narodu...

Mówiąc o winie inteligencji wobec narodu, ciągle używał dwóch terminów, które mnie wydawały się synonimami -

„inteligent” i „intelektualista”. W końcu nie wytrzymałam i spytałam:

- Czym się różni inteligent od intelektualisty?

- Różnica jest bardzo istotna - odparł. - Mogę to wytłumaczyć tylko alegorycznie. Rozumiesz, co to znaczy?

Kiwnęłam głową.

- Kiedy jeszcze byłaś malutka, żyło w tym mieście sto tysięcy ludzi, którzy otrzymywali pensję za to, że całowali w dupę ohydneho czerwonego smoka. Którego ty pewnie już w ogóle nie pamiętasz...

Pokręciłam przecząco głową. Kiedyś we wczesnej młodości naprawdę widziałam czerwonego smoka, ale już zapomniałam, jak wyglądał - pamiętam tylko swój strach. Paweł Iwanowicz jednak raczej nie miał na myśli tamtej sytuacji.

- Oczywiście te sto tysięcy nienawidziło smoka i marzyło o tym, by rządziła nimi zielona ropucha, która z nim walczyła. No i porozumieli się z ropuchą, otruli smoka szminką otrzymaną od CIA i rozpoczęli nowe życie...

- A co ma do tego intel...

- Cierpliwości. - Paweł Iwanowicz podniósł dłoń. - Najpierw myśleli, że pod rządami ropuchy będą robić kropka w kropkę to samo, tylko pieniędzy zaczną otrzymywać dziesięć razy więcej. Okazało się jednak, że zamiast stu tysięcy lizodupów potrzebni są teraz trzej profesjonaliści, którzy pracując po osiem godzin na dobę, będą robić ropusze permanentną głęboką laskę. A kto konkretnie spośród stu tysięcy znajdzie się w tej trójce, zadecyduje konkurs, na którym trzeba się będzie wykazać nie tylko wysokimi kwalifikacjami zawodowymi, ale także umiejętnością uśmiechania się optymistycznie kącikami ust podczas roboty...

- Przyznam się, że już straciłam wątek.

- Proszę, oto wątek. Te sto tysięcy nazywano inteligencją. A tych trzech nazywa się intelektualistami.

Mam pewną trudną do wyjaśnienia cechę. Nie znoszę zwrotu „robić łaskę” – w każdym razie poza kontekstem zawodowym. Nie wiem czemu, ale doprowadza mnie to do szału. Poza tym metafora Pawła Iwanowicza wydała mi się tak chamską aluzją do mojej profesji, że aż zapomniałam o dopłacie, o którą chciałam poprosić.

- Mówi pan o robieniu łaski, żebyśmy mogła zrozumieć? Z uwagi na swoje doświadczenie życiowe?

- Ależ skąd, moja droga – odrzekł wyrozumiale Paweł Iwanowicz. - Używam takich terminów, bo sam zaczynam przy tym rozumieć, w czym rzecz. A rzecz nie w twoim doświadczeniu życiowym, tylko w moim...

Innym razem w czasie chłosty zaczął czytać jakiś magazyn. To było obraźliwe samo w sobie. Kiedy zaś jął pukać palcem w jakiś artykuł i mamrotać „zamknąłbyś się, gnoju”, zirytowałam się i przerwałam seans – to jest zasugerowałam przerwę.

- O co chodzi? – zapytał ze zdziwieniem.

- Nie rozumiem, czy to ma być flagelacja, czy czytelnia?

- Przepraszam cię, moja droga – odrzekł. - Znalazłem tu oburzający wywiad. Po prostu skandal!

I przytknął palcami w magazyn.

- Nie mam nic przeciwko powieściom kryminalnym, ale nie mogę znieść, kiedy ich autorzy zaczynają pouczać, jak rządzić Rosją.

- Dlaczego?

- To tak, jak gdyby małolata, którą kierowca TIR-a podwozi za obciążenie druta, nagle oderwała głowę od miejsca pracy i zaczęła go pouczać, jak się przemywa gaźnik na mrozie.

Paweł Iwanowicz najwyraźniej nie miał pojęcia, jak obraźliwie to brzmi w rozmowie z przedstawicielką seksusług.

Zdążyłam jednak wyczuć falę gniewu, jeszcze zanim mnie ogarnęła, dzięki czemu w mojej duszy rozlał się radosny spokój.

- A cóż w tym dziwnego? - rzuciłam jakby nigdy nic. - Może obsłużyła tylu kierowców, że poznała wszelkie aspekty ich życia i teraz rzeczywiście wie, jak się przemywa gaźnik.

- A mnie, moja droga, żal kierowców, którzy potrzebują w charakterze konsultanta gadatliwego lachociąga. Tacy daleko nie zjadają.

„Gadatliwy lachociąg”, no tak. Ależ on jest jednak... Znów pochwyciłam wybuch wściekłości w momencie jego powstania, i gniew nie zdążył się ujawnić.

To było wspaniałe. Jakbym w czasie burzy skoczyła na deskę surfingową i mknęła na niej po falach zgubnych emocji, które nic nie mogą mi zrobić. Gdyby tak można było czynić zawsze, pomyślałam, iluż ludzi pozostałoby przy życiu... Nawet nie próbowałam przeczyć Pawłowi Iwanowiczowi. My, lisi-ce kroczące ponadświatową drogą tao, nie powinnyśmy mieć w takich kwestiach własnego zdania. Jasne było jedno - Paweł Iwanowicz okazał się nieocenionym trenerem ducha.

Niestety, za późno zrozumiałam, że to dla mnie zbyt ciężka waga. Kiedy po raz pierwszy utraciłam nad sobą kontrolę, obeszło się bez urazów. Wyprowadził mnie z równowagi jedynym zdaniem o Nabokowie (nie mówiąc już o tym, że na jego biurku leżała kserokopia artykułiku pod tytułem *Objawienie się fryzjera kelnerom: fenomen Nabokowa w kulturze amerykańskiej*).

Polubiłam Nabokowa w latach trzydziestych, już wtedy, gdy otrzymywałam jego paryskie teksty przez wysoko postawionych klientów z NKWD. Ach, jakież świeży powiew roztaczały te kartki maszynopisu w koszmarnej stalinowskiej stolicy! Pamiętam, że szczególne wrażenie zrobił na mnie fragment z *Poematu paryskiego*, który dostałam już po wojnie:

*W owym życiu, tak kipiącym od wzorów
(Wiecznie nowym, bowiem z innych słów
Już inaczej, przez innych aktorów
Inny teatr wystawi je znów),
Miałbym sobie za coś cudownego
Ten kobierzec w taki złożyć zbiór,
Żeby przypadł wzór dnia dzisiejszego
Na ten dawny, miniony wzór...*

Władimir Władimirowicz napisał to o nas, lisicach. My rzeczywiście bez końca oglądamy przedstawienie w wykonaniu nerwowych aktorów-ludzi, przekonanych, że odgrywają je na ziemi pierwsi. Wymierają niewyobrażalnie szybko, zastępuje ich nowa obsada, która zaczyna grać te same role z tym samym patosem.

Co prawda, dekoracje są wciąż inne, do przesady. Ale sama sztuka nie zmienia się już od bardzo dawna. Ponieważ zaś my pamiętamy bardziej wzniosłe czasy, stale dręczy nas tęsknota za utraconym pięknem i sensem. I w ogóle te wiersze poruszyły we mnie wiele strun naraz... À propos strun – ten dywan z *Poematu paryskiego* został wywieszony w wierszu Humberta Humberta:

*Dokąd jedziesz, Dolores Haze?
Jakiej marki dywan latający dziś w modzie?
Kremowy kuguar? Gdzie parkujesz, hej,
Moje zwierzątko w samochodzie?**

Ja wiem, jakiej marki. Został utkany w Paryżu, chyba w trzydziestym ósmym roku, w letni dzień, pod białymi gigantami obłoków zastygłych w lazurze, a potem, zwinięty w rulon,

* Przekład Roberta Stillera.

dojechał do Ameryki... Trzeba było wszystkich okropności drugiej wojny światowej, całej potworności podyktowanych przez nią wyborów, aby go powieszono w przedpokoju Humberta. A tutaj ten półinteligent wyplata takie brednie!

- Szczęście, moja droga, to sprzeczność sama w sobie. Dostojewski zapytywał, czy jest ono do pomyślenia, jeśli zapłacono za nie łzę dziecka. A Nabokow, odwrotnie, zastanawiał się, czy szczęście jest możliwe bez niej.

Takiego plunięcia na grób pisarza nie wytrzymałam i cisnęłam nahajką na podłogę. Chcę powiedzieć, że nie przestałam po prostu sugerować Pawłowi Iwanowiczowi biczowania, ale sprawiłam, że zobaczył, jak nahajka uderza o podłogę z taką siłą, że na parkiecie powstaje rysa. Musiałam ją potem własnoręcznie zacierać, kiedy on poszedł pod prysznic. Unikam dyskusji z ludźmi, ale tym razem mnie poniosło i przemówiłam z powagą, jakbym miała przed sobą inną lisicę:

- Obraża mnie, kiedy ktoś myli Nabokowa z jego bohaterem. Albo nazywa go ojcem chrzestnym amerykańskiej pedofilii. To całkowicie błędna opinia o pisarzu. Niech pan sobie zapamięta: Nabokow sypie się nie wtedy, kiedy opisuje zakazane wdzięki nimfetki. Nikt nie demaskuje się przez całe stronicce, na całych stronicach się tworzy. Autor sypie się wówczas, kiedy wymyka mu się wzmianka o imponujących pieniądzach Humberta, które pozwalają mu na podróżowanie z Lolitą po całej Ameryce. O tym, co ma w sercu, zawsze wspomina ukradkiem...

Opamiętałam się i zamilkłam. Historię Lolity odbierałam bardzo osobiście i serio: Dolores Haze była dla mnie symbolem duszy wiecznie młodej i czystej, a Humbert - prezesem rady nadzorczej tego świata. Poza tym wystarczy w linijce wiersza, opisującej wiek Lolity („Wiek: pięć tysięcy trzysta dni”), zastąpić słowo „dni” słowem „lat”, a tekst będzie dokładnie

o mnie. Naturalnie jednak nie podzieliłam się tą wiadomością z Pawłem Iwanowiczem.

- Dalej, dalej proszę - powiedział zdumiony.

- Pisarz marzył oczywiście nie o smarkatej amerykańskiej uczennicy, ale o skromnym dostatku, który pozwoliłby mu spokojnie łowić motyle na przykład gdzieś w Szwajcarii. W takim marzeniu nie widzę nic hańbiącego dla rosyjskiego szlachcica, który pojął, jak próżne są wszelkie ziemskie wysiłki. A wybór tematu książki, która miała zapewnić ów dostatek, daje wyobrażenie nie tyle o skrytych skłonnościach jego serca, ile o tym, co myślał pisarz o swych nowych współobywatelach, a także jak dalece obojętna mu była ich opinia na jego temat. To, że książka stała się arcydziełem, też nietrudno wyjaśnić - talentu nie sposób ukryć...

Kończąc tę tyradę, wymyślałam sobie w duchu najgorszymi słowami. I było za co.

Profesjonalnie jestem nastolatką o niewinnych oczach. Takie istoty nie wygłaszają długich przemów o twórczości pisarzy ubiegłego wieku. Mówią prymitywnie i prosto, głównie o tym, co materialne i widoczne. A tu...

- Ależ cię poniosło, no, no - wymamrotał ze zdziwieniem Paweł Iwanowicz. - A jak ci oczka błyszczą! Gdzie się tego wszystkiego nauczyłaś?

- Niechący - mruknęłam ponuro. - Jak robiłam jednemu filologowi fisting analny...

Obiecałam sobie uroczyście, że więcej nie będę się z nim wdawała w dyskusje o kulturze, tylko wykorzystam go, zgodnie z pierwotnym zamiarem, jako materiał do rozwijania siły ducha. Ale było już za późno.